

Wolna myśl.

18651

Napisał X. Dr. Adam Kopyciński

Proboszcz w Gawłuszowicach.



W Tarnowie 1912 roku :: Nakładem „Gwiazdy“
tarnowskiej, jako właścicielki tego wydawnictwa.



18651

NIHIL OBSTAT

Tarnoviae, die 12. Aprilis 1912.

Dr. Andreas Macko
ensor librorum.

Nr. 2086.

IMPRIMATUR.

Ab Ordinariatu Episcopali.

Tarnoviae, die 14. Aprilis 1912.

† *Leo*
Eppus.

H-122435

K.
24.10.58
A-3453

DRUKIEM ZYGMUNTA JELENIA W TARNOWIE

Wolność.

Wolność! A któżby jej sobie nie życzył? Niemal wszyscy dążą i domagają się wolności. Tylko pojęcia wolności są różne. Jedni pragną wolności, ale takiej, któraby się spierała na autorytecie, to jest na powadze. A czynią to dlatego, by w wielu bardzo ważnych i istotnych zagadnieniach życia nie pobłądzić. Inni znów domagają się nieograniczonej, nieokiełzanej wolności, którejby żaden autorytet nie krępował. I to dwojakie zapatrywanie się na wolność rozdziela obecnie umysły ludzkie. Gdzie słuszność? Która z tych dwóch wolności da szczęście i pokój jednostce, sprowadzi dobrobyt w społeczeństwie i zaprowadzi zgodę i możliwe pożycie między ludźmi, narodami i państwami? Która ujarzmi samolubne popędy ludzkie, a społeczeństwo ochroni od walk, zmagania się wzajemnego i od anarchii społecznej i duchowej?

Powaga i wolność! Naprawdę, to dwie wielkie potęgi. A one wspólnie, ręka w rękę, powinny pracować i budować dalej gmach chrześcijańskiej kultury. Dlaczego? Bo wolność bez powagi tego nie dokona; bo sam ludzki rozum, bo sama wolna myśl nie da stałego oparcia jednostce, nie może być kierownikiem jej sumienia, nie rozwiąże najważniejszych zagadnień i nie da tak silnej podwaliny, na którejby

się każdy człowiek ze spokojem oprzeć mógł. A w tej ciężkiej codziennej walce o chleb, o byt, musi człowiek mieć jakieś stałe oparcie dla swego rozumu, jakiegoś pewnego kierownika dla swego sumienia; musi mieć przed oczyma pewne stałe prawa, które mu wskażą, jak ma w życiu postępować, by i jemu i innym z nim było dobrze. A to znów każdy przyzna, że jednostka niema na to ani czasu, ani zdolności, ani możliwości, by się w tych niedościgłych zagadnieniach rozpatrywać, badać je i utrwalać.

To nie ulega wątpliwości, że są pewne zagadnienia, które rozum rozwiązuje. Ale i o tem każdy wie, że są znowu takie i to najważniejsze, których żaden rozum ludzki nie jest w możności rozwiązać. A przecież te zagadnienia muszą być rozwiązane, jeżeli człowiek nie chce iść po omacku w życiu, nie chce się na błędy narażać, jeżeli pragnie — w tem nawet życiu — zaznać i zakosztować choć szczyptę prawdziwego szczęścia i prawdziwego pokoju. Ot jedno z takich zagadnień. Oto mnie nie było. Naraz ujęła mnie jakaś moc i rzekła mi: chodź! Skądęś się wziął? Dokąd idziesz? Czy masz duszę? A jeżeli ją masz, czy ona nieśmiertelna? Co poza grobem? Czy cnota będzie nagrodzoną, a zbrodnia ukaraną? A owa nagroda i kara, czy one są wieczne? I tyle innych prawd. A czy wiedza znajdzie na to stanowczą odpowiedź? A kto mi powie o moim przyszłym losie po śmierci? A ja o tem wszystkiem muszę wiedzieć pod grozą szczęścia lub nieszczęścia i tu, i tam.

Kto mnie o tem pouczy? Kto te zagadnienia nieomyślnie rozwiąże? Czy nauka? Nie. Ona sama wie, że te zagadnienia leżą poza jej sferą. Ale ona wie, że te zagadnienia muszą być rozwiązane, bo

one najwięcej obchodzą i rozum ludzki i serce ludzkie, a i sumienia ludzkie. Któż je rozwiąże? Kato-
licy twierdzą, że Kościół pouczony przez Pana Boga. Wolnomyślni zaś uczą, że każdy człowiek dorósł do
rozwiązania tych zagadnień, a to z tego tylko tytułu, że jest „wolnym“. I na mocy tej „wolności“, tej „wol-
nej myśli“ głoszą taką zasadę: „nie uznawaj tego za
prawdę, czego natychmiast nie zrozumiesz“, boś
zdolny do tego.

Kiedy błąd ten wszedł między ludzi? „Owa
zgubna i oślakana żądza nowości w XVI. wieku
wzniesiona, zwichrzywszy najprzód religię chrześci-
jańską, wnet naturalnym biegiem przeszła do filo-
zofii, a potem ogarnęła wszystkie warstwy rzeczy-
pospolitej. Z tego to źródła pochodzą one nowo-
żytnie wyuzdanej wolności hasła, poczęte i światu
ogłoszone wśród strasznych przeszłego wieku zabu-
rzeń. Z tych zasad najgłówniejszą jest ta, że wszyscy
ludzie jak z natury są sobie podobni, tak i w życiu
są równi; że każdy tak dalece jest niezawisły, iż
żadnej zgoła nie podlega władzy, że wolno mu my-
śleć o wszystkim, co chce, działać, jak mu się po-
doba, a prawo rozkazywania innym nikomu nie
przysłuża. We wszystkich zatem kwestyach religij-
nych wypada pozostawić sąd każdemu, i wolno ka-
żdemu wyznawać religią, jaką chce, albo i żadnej,
jeżeli żadna mu się nie podoba. Stąd jako następstwa
wypływają: „niezawistość sumienia, nieznająca ża-
dnego prawa, nieograniczona niczem swawola my-
ślenia i wygłaszania myśli“. Tak opisuje ów olbrzymi
geniusz Leon XIII. w swej encyklice „Immortale Dei“
początek wolnej myśli.

Zapytajmy tedy, czy ta zasada wolnomyślna:
„nie uznawaj tego za prawdę, czego natychmiast nie

zrozumiesz“, ma za sobą choćby cień prawdy? Zapytajmy, czy ta ubóstwiana wolna jednostka jest naprawdę zdolną a i kompetentną do wydawania sądu o tem, co jest „prawda“? Czy ta jednostka może, czy podoła, czy ma czas badać samodzielnie głębiny społeczeństwa i jej i człowieka powołania? Czy zwykły śmiertelnik, któremu „wolna myśl“ przyznaje tak wielkie prawo, ma na tyle zdolności i sił, by nie te najwyższe zagadnienia, ale byle jakie banalne nawet prawo mógł zrozumieć, a cóż dopiero wymyślić. Rozważmy, choćby na kilku tylko przykładach.

Mąż, poświęcający się gruntownym studjom czy to z dziedziny historii, przyrody, czy filozofii, musi wprzód zaznajomić się z teorią poznawania, nauczyć się logicznie myśleć. Potem musi poznać błędy, jakich się w tej dziedzinie prawdy jego poprzednicy dopuścili. Następnie rozpatruje się w metodzie badania i poddaje surowej krytyce źródła, z których czerpie poznanie. Na końcu dopiero szuka zasad i praw w tej nauce, której życie całe poświęcił. A to wszystko trwa szeregi lat, kosztuje dużo bezsennych nocy i wypełnia cały żywot. — Wolnomysłny zaś twierdzi, że w prawach, w których się rozchodzi, — nie o historią, przyrodę, filozofią — ale o najważniejsze, najtrudniejsze zagadnienia, czyto z dziedziny religii, czyto z dziedziny obyczajów, każdy człowiek, a nawet nieuk, może mówić lub pisać bez wieloletnich badań, bez studjów głębokich, i uczy: „mów, co ci na myśl wpadnie“. Jesteś wolnym, jesteś mądrym, wiesz wszystko, a więc znajdziesz prawdę wiary i obyczajów bez nauki. Jakie to dziecinne. Naprawdę, „wolna myśl“ rozprawia jak dzieci.

Dobre ubranie może tylko krawiec zrobić. Taką daje nauczkę Plato w swych dialogach wolnomysłnym. A mimo to dzisiejsi wolnomyśliciele uczą, że każdy nieuk może wyrokować i to publicznie i z miną niby mądrego człeka, o najgłębszych zagadnieniach ludzkich, o celu człowieka i ludzkości, o wieczności, o zasadach moralności, czyli o prawdach, które nie są przecież „wedle miary krawca“. Tak. Do zrobienia dobrego ubrania potrzeba nauki i wprawy; ale do mówienia i rozstrzygania o najważniejszych prawdach religii i moralności nie potrzeba ani nauki, ani pracy, ani długich badań. „Mów, co ci na myśl wpadnie, boś wolny, boś mądry“. Jakie to śmieszne.

I co się dzieje? Że lađa pyszatek podaje ustnie lub w piśmie swe głupiutkie pomysły jako naukowy pewnik. A ciemna masa ludu idzie na lep frazesu, truje swego ducha, i nie znając prawdy, karłowacieje i ginie intelektualnie i moralnie. I to nieuctwo, i to szalbierstwo zowią dzisiaj: „wszechstronnem rozwojem jednostki“, zowią „indywidualizmem“. Czemu się tak dzieje? Bo ludzie nie znoszą prawdy, a więc jej i nie szukają. Bo ludziom rozchodzi się tylko „o swą własną korzyść“, a gdy im się głosi prawdę, krzyczą: „ukrzyżuj!“

Już w starożytności inaczej postępowano. Platon dla swego idealnego państwa taką przepisał zasadę: W społeczeństwie muszą być duchowi przewodcy, którzy stojąc zdaleka od ruchliwego żywota, poświęcają się wyłącznie najwyższym prawdom, a to w tym celu, ażeby ludzka praca i myśl były temi prawdami oświecane i kierowane.

Weźmy na przykład taką zasadniczą prawdę: „tego czynić nie wolno“. Jak się na nią ludzie zapatrują. Uczciwy n. p. kupiec rozważa różne środki,

któreby go wyswobodziły z jego krytycznego położenia. Odrzuca wykręty, bo są złe, a inne, bo są za ryzykowne. Inne zaś środki, któreby go z jego krytycznego położenia uwolniły, odrzuca dlatego, bo mu sumienie mówi: „tego czynić nie wolno”. Nieuczciwy zaś kupiec, który nie słucha sumienia, pouczonego przez tradycję, tylko swego rozumu i swej myśli, tak sobie mówi: „zakaz to pedanterya, dopuszczę się tedy oszustwa, które mnie znów na nogi postawi”. A przecież zakaz ów „tego czynić nie wolno” wypływa z prawa bożego, z żywota całej ludzkości, dotyka fundamentów wszelakiego ludzkiego zaufania i spoczywa na prawach, jakie wypłynęły z sumienia wszystkich ludzi. A niestety „wolna myśl” tego nie uznaje.

Gdyby zaś nadszedł taki czas, w którymby sobie ludzie powiedzieli, że ich już nie obchodzi ani Boże prawo, ani powaga Kościoła, i że tylko ich indywidualny rozum ma im wskazywać drogi, jakimi iść mają, natenczas każda jednostka pójdzie za swym popędem, będzie się kierowała samolubstwem i podepce wszelakie prawo i ludzi, byleby tylko siebie wywyższyc. Co trafnie skreślił X. Arcybiskup Teodorowicz na uroczystości Krasińskiego we Lwowie, na dniu 26 lutego 1912 r. słowy: „Cóż powiedzieć o dzisiejszych pigmejach, co łamią moralność i prawo publiczne, nie już przez partyjną namiątność, ale przez zimny, cyniczny rachunek, — którzy nawet nie potrzebują być kuszeni, bo do dogmatu politycznego wnieśli zasady: że w polityce moc jest wszystkim, a moralność niczem. Tak też nie potrzebują nawet do swego boku szatana Masynissy, tak bowiem wiernie ducha stosują w życiu, tak do ideału podnieśli zasadę, że w życiu publicznem nie obowiąz-

zuje sumienie, ni prawda, bo ich jedynem bożyszczem jest: sukces i siła. Krótkowidząca dzisiejsza polityka w świecie łądzi się, gdy sądzi, że się bez zasad moralności obejdzie. I upada najczęściej i rozbija się o to właśnie, co lekceważyła, co z uśmiechem od siebie odrzuciła“.

Ogólny wynik takiego fałszywego na życie i na sprawę ludzkie zapatrywania jest: u dołu opilstwo i gruba rozpusta; u góry wyrafinowany epikureizm myśli, sensacja, rozkosz, władza. A potem? Walka jednostek, ras — i zniszczenie społeczeństwa. Słusznie bo mówi Mefistofeles Goethego: „Światło niebieskie zowie człowiek rozumem, a używa go po to, by bardziej stawać się zwierzęciem od zwierzęcia“. A i osławiony Rousseau w swoim Emilu zwraca się przeciw takiej waryackiej filozofii, która, według jego przekonania, czyni ludzi do zwierząt podobnymi.

Dlatego trzeba pamiętać na napomnienie Leona XIII.: „Wolność myślenia i wolność prasy, żadnego nie znająca wędziła, nie jest istotnem dobrodziejstwem, któremby się miało cieszyć ludzkie społeczeństwo, ale jest źródłem i przyczyną wielu złego. Wolność, jako przymiot doskonałący człowieka, powinna się obracać w sferze prawdy i dobra; istota zaś prawdy i dobra nie zmienia się wedle kaprysu ludzkiego, lecz pozostaje zawsze jednaka i tak samo, jak istota rzeczy, nieodmienna. Jeżeli rozum przystaje na fałsz, jeżeli wola łągnie do złego, nie jest to udoskonaleniem obu tych władz, ale utratą i zwichnięciem przyrodzonej zacności. Tego więc, co się prawdzie i cnocie przeciwi, nie godzi się na jaw wydobywać i stawiać przed oczy ludzkie, a tem mniej godzi się popierać opieką prawa. A więc

zbacza państwo od zasad i przepisów prawa przyrodzonego, kiedy tak wyuzdaną daje wolność niegodziwym zdaniom i czynom, że można bezkarnie odwozić umysły od prawdy, a serca od cnoty. Prawdziwa i pożądana godna wolność wypiera w prywatnem życiu niewolę błędu i tyranieł namiętności, a w życiu publicznem przewodniczy mądrze obywatelom i daje im w sferze dobra szeroką swobodę działania, a zarazem broni państwo od obcej przemocy. Tej zacnej i godnej człowieka wolności nikt tyle nie pochwała, co Kościół, i żadnych starań Kościół nie zaniedbał, by ją ludziom zabezpieczyć. W rzeczy samej, cokolwiek w państwie służy osobliwie dobru powszechnemu, cokolwiek postanowiono dla ukrócenia samowoli książąt, którzy rządźili ze szkodą dla ludzi, co zabrania najwyższej władzy wtrącania się w sprawy miejskie i rodzinne, co strzeże godności i osobistych praw człowieka, oraz słusznego podziału praw i obowiązków pomiędzy obywatelami, to wszystko, jak świadczą pomniki przeszłości, Kościół katolicki albo wynalazł, albo w życie wprowadził, albo bronił wytrwale“ (*Immortale Dei*).

Wolność tedy bez autorytetu, filozofia i wszelka nauka bez Boga, to nieszczęście dla jednostek, dla społeczeństwa, to choroba, która powoli truje ludzi i druzgocze kulturę. Zaś wolność, oparta na głębokiej wierze, to dopiero silna podwalina i dla jednostki i dla ustoju społecznego i politycznego. Prawda jest najlepszą matką i orędowniczką wolności, a religia, jako największa potęga, jej podpora.

Rozważ pierwsze wieki ery Chrystusowej, a zobaczysz, że tylko Chrystyanizm ciągle odradza, ciągle podnosi i ciągle uszlachetnia człowieka. Bo

tylko „prawda was wyswobodzi“ (Jan 8, 32). I gdy wierzący ciągle się dźwiga moralnie, to niewierzący, skoro raz się zatrzyma w swym pochodzie ku wyższym, idealnym i moralnym celom, to już upada i to niestety nieraz niżej godności ludzkiej.

Duchowa i moralna nędza ludzka jest bardzo trudna do zwalczenia. I pod tym względem taka zachodzi różnica między człowiekiem a zwierzęciem, że zwierzę nie zwyrodnije, a człowiek spada w zwyrodnieniu tak nisko, że groza przejmuje. Słusznie ktoś powiedział, że najokropniejszą z okropności jest człowiek w swoim szale. I słusznie. Bo zwał okrucieństwa wojny, przeróżne prześladowania, wybuchy nienawiści, zemsty, okrucieństwa wielkich i małych tyranów, grzechy przeciw naturze, nierząd, rozpustę, procesy, podejścia, zdrady i t. p., a zobaczysz straszną nikczemności i spodlenia otchłai w ludziach.

I tę nędzę ludzką tylko Kościół jest w możności uleczyć, który wskazuje jako największy cel: Boga, a i daje pomoc, potrzebną do osiągnięcia tego celu.

- Tylko w Kościele katolickim jest możliwe dźwiganie się z upadku, jest możliwy postęp moralny na coraz wyższe szczeble i szczyty doskonałości, by wreszcie dojść do zjednoczenia się najwyższą Doskonałością z Bogiem

Wolna myśl niema potrzebnej powagi do wydawania praw moralnych?

Wolnomyślni, nie mając tej potrzebnej powagi do wydawania praw moralnych, szukają jej, a to w tym celu, by prawa, przez nich wydawane, zobowiązywały jednostki i społeczeństwo. Wiedzą bowiem, że „wolna myśl“, że „wybujął indywidualizm“ doprowadzi do walki wszystkich przeciw wszystkim, że znów wróćą owe straszne czasy, gdy to człowiek był dla człowieka wilkiem. *Homo homini lupus*. Rozpatrzmy się w poszukiwaniach wolnomyślnych za tą powagą, za autorytetem.

August Comte twierdził, że umiejętność wynajdzie powagę, która prawom moralnym przez nią wydawanym nada taką sankcją, iż one będą ludzi nawet „w sumieniu obowiązywać“. Czy to prawda? Czy ludzka myśl podoła w przyszłości położyć tak silne fundamenta pod etykę, iż się jej ludzie nawet w sumieniu poddadzą? Czy złożony doktorat z filozofii starczy do rozwiązania zagadnień naszego bytu? Czy uczony filozof lub prawnik może zostać prawodawcą, ale takim, aby prawa etyczne przez niego skreślone obowiązywały wszystkich i „w sumieniu“?

Czy miejsce autorytetu Kościoła, który go otrzymał od Boga, zastąpi logika ludzka lub rozum ludzki?

Już w XVII. i XVIII. wieku myśliciele zrozumieli, iż wykluczając zasady moralne Kościoła, trzeba się rozglądnać za jakimś nowym autorytetem. Uczynił to pierwszy Spinoza i swój system wymyślił, który miał zastąpić powagę Kościoła i stać się sam tak silnym autorytetem, iżby sumienia ludzkie zobowiązywał i wiązał. Ale odrzucono ten, przez niego wymyślony, autorytet jako bezpodstawny.

Po nim stawiał Kant inny autorytet, a to „majestat przedmiotowej powagi etyki“, jaki mu nauka daje. Kant usiłuje normy moralności uczynić niezawisłymi od chwiejnych i ciągłej zmianie ulegających poglądów jednostki i ustalić je w ten sposób, jakoby one wypływały z nadzmysłowej istoty jednostki.

Wszystkie te filozoficzne mrzonki odrzucił wiek XIX., i w miejsce autorytetu filozoficznego postawił „autorytet społeczny“. Bo ludzie nabrali przekonania, że samoistna, na wiedzy oparta etyka, jest złudzeniem. I słusznie. Wszakże etyka rozumu, o ile wyłania się „z mózgu“, nie jest w możności nakłonić człowieka do szanowania jej praw „w sumieniu“. A zresztą każda czynność jednostki wypływa z najgłębszych jego tajników. Kto zaś z ludzi jest w możności poznać cały ów proces, jaki się w duszy zbrodniarza odbywa, a zarazem poznać i te przyczyny i te wpływy, jakim on ulega. Któż znów z ludzi ma na tyle powagi, ażeby skłonił człowieka, w którym kiełkuje myśl zbrodni, by się od niej cofnął? Żadna filozofia takiego autorytetu nie posiada.

Ale mówią owi mędracy, że są przecież pewne zasadnicze prawa ludzkości, które wszyscy uznają; a z tego taki wniosek wysnuwają: „z tych zasadni-

czych prawd i praw wypływa przymus do szanowania ich, czyli autorytet". I na dowód przytaczają ową zasadniczą prawdę i zasadnicze prawo: „nie zabijaj”. Bo gdyby ludzkość tego prawa nie szanowała, toby społeczeństwo rychło zginęło. Otóż z tych praw wypływa ich sankcja i powaga, która nakazuje i w sumieniu nawet szanować owe prawa.

Czy to prawda? Czy nawet owo tak ważne a zasadnicze prawo „nie zabijaj” posiada samo z siebie taki autorytet, żeby wszystkich obowiązywało i aby na żadne wyjątki nie pozwalało? Niestety nie. Ci sami uczeni czynią wyłomy w tej ogólnej zasadzie: „nie zabijaj”. I tak Oswald protestuje przeciwko tej zasadzie, jakoby nie wolno było zabijać. Haeckel zaś poleca spartańską selekcję i pozwala zabijać słabowite lub źle rozwinięte dzieci. Forel idzie dalej i poleca skracać życie nieuleczalnie chorych i waryatów. A czy znów jakiś sofista lub egoista nie znajdzie w swym mózgu dowodów, które usprawiedliwiają człowieka, gdy on zabija swego rywala.

Malthus, pastor anglikański, przewyższył brakiem miłosierdzia świat pogański. Ów Malthus, którego wielbiciele zowią „boskim protestantem”, tak uczył: „Ponieważ natura ludzka rządzi i sądzi, byłoby szaleństwem i śmieszną ambicją z naszej strony stawiać się na jej miejscu i brać na siebie niewygodę egzekucyj. Oddajemy winnego sprawiedliwości natury. Pomoc publiczna niech będzie dla niego zamknięta, a gdyby się dobroczynność prywatna ubogim zajęła, wówczas ludzkość ma prawo żądać, aby jałmużna nie była zbyt obfita. Ubogi powinien wiedzieć, że go prawo natury, czyli Boga, skazały na nędzne życie, karząc go za to, że przeciw nim zgrzeszył”.

Tak się obchodzi pastor protestancki z biedakiem za to, że, nie posiadając dostatecznych środków do utrzymania rodziny, ożenił się i został ojcem kilkorga dzieci. Za to, że się nie obliczył z dochodami, albo przeliczył się w nadziejach, musi z głodu umrzeć, bo tak chce natura, Bóg. Tak bluźni Malthus. (Czytaj „Pozytywizm“ Jeske-Choińskiego, str. 71).

A więc, ani umiejętność filozofa, ani twierdzenia socjologa w tej tak ważnej sprawie, jak owo „nie zabijaj“, nie może znaleźć takiego autorytetu, któryby zawsze i wszędzie i we wszystkich okolicznościach nakazywał w sumieniu to prawo szanować. Rozum w sprawie moralności raczej zniszczy, aniżeli utrwali moralność. Czemu? Bo etyka u wielu ludzi, którzy się tylko rozumem kierują, jest głupstwem. Co świetnie skreślił Dostojewski w dziele: „Wina i pokuta“, wykazując, dokąd to człowiek dochodzi, gdy tradycyję etyczną samym tylko rozumem rozważa i za rozumem tylko postępuje, nie zważając na autorytet.

Z tych wszystkich dzieł czy to filozoficznych, czy socjalnych, które etykę wywodzą z rozumu, wynika, że tylko religia jest w możności nakłonić człowieka do złożenia najcięższej nawet ofiary ze siebie, i to nawet wtenczas, gdy według jego rozumu taka ofiara wydaje się mu zbyt ciężką.

Ale owa prawda „nie zabijaj“, to jest świętość życia ludzkiego, odnosi się tak samo i do innych zagadnień, np. do zacności, prawdomówności, czystości, szanowania czci bliźniego i jego mienia, jednym słowem, do ostatnich siedmiu przykazań Bożych. A już co do świętości i jedności węzła małżeńskiego, z którego wypływa szczęście i pokój w społeczeństwie, a przeciw któremu tak gwałtownie obecnie występują, toć rozumem nic tu człowiek nie



podoba. Bo rozum nie jest w możności ustalić umiejętności jedności, świętości i nierozzerwalności węzła małżeńskiego. To może dokonać tylko powaga Boża. Religia tylko jest w stanie wzmacniać i uszlachetniać wyższe siły ducha, bo ona pokazuje ludziom Boga, dla miłości którego człowiek spełnia obowiązki moralne; bo człowiek pouczony i wzmocniony zasadami religii, poznaje, że nierozzerwalność małżeństwa daje jemu i jego potomstwu szczęście, zapewnia im miłość, a społeczeństwu pokój i trwałość. Komu bowiem przyświeca idea zbawienia, ten lżej znosi ciężary i przeciwności, jakie z sobą przynosi małżeństwo.

Wynik z tego taki. Dziś należy pozytywizm, jako system filozoficzny, do nieboszczyków. A i ewolucjonizm przestał być prawdą z chwilą, gdy prof. Pasteur, dowiódłszy jednostronności darwinizmu, zburzył główną podwalinę tego dumnego a głupiego gmachu. A ile one złego ludzkości przyniosły. Obie te nauki były niesumienne, bo podawały hipotezy, przypuszczenia za fakty, np. pochodzenie człowieka, atawizm bezpośredni, samorództwo. Obie były nieuczciwe, gdyż odebrały człowiekowi podporę i pomoc w jego niemocy, nic mu w zamian nie dając. Obie były okrutne i nieszlachetne, bo oświadczyły, że człowiek trzusi się nadaremnie, by dojść do ideału. Żadna nauka, czy filozoficzna, czy społeczna, nie zastąpi religii w sprawach moralności. Bez autorytetu Kościoła niema moralności. Ślicznie to wyjaśnia X. Morawski: „bo społeczność ludzka stoi tylko na podstawach moralnych, a te na dogmatycznych. Moralne węzły tworzą i podtrzymują rodzinę; moralne obowiązki umożliwiają pożycie między obywatelami. Państwo ze swymi urządzeniami dopomaga tylko owym czynnikom moralnym, ale sumienia nie

zastąpi. Przymus państwowy niczego nie dokona bez religii. I dlatego Comte, Littré i Darwin i wielu innych poszli już w zapomnienie; a rozwija się potężnie wszędzie Chrystyanizm. Bo materializm zawiódł oczekiwania wszystkich i dusza ludzka przyszła do przekonania, że ją głodzono i oszukiwano. Religia jest potrzebą człowieka i gdy ją kto straci, chorzeje i nie zazna pokoju. Ból, który trapi duszę niedowiarka, krzyczy, że się w niej coś popsulo“ (Wieczory nad Lemanem). Słusznie tedy pisał stary Platon, że bezwyznaniowość to ciężka choroba duszy, i dodał tę trafną uwagę, że nikt przez całe życie nie wytrwa w niedowiarstwie. A Plutarch zowie ateizm — zezwierzęceniem, bo niewierzący wypiera się swej ludzkiej natury.

Myśl ludzka nie jest wolną.

Hobbes postawił takie zagadnienie. Dlaczego postęp w rozpoznawaniu zagadnień i prawd wyższych jest o wiele powolniejszy od postępu w rozpoznawaniu prawd w dziedzinie przyrody lub matematyki? I przyczynę tego widzi w tym, że ludzkie usiłowania i dążenia do poznawania prawd w dziedzinie religijno-moralnej stoją w ciągłej walce i sprzeczności z popędem zachowawczym samego siebie i z ludzkimi pragnieniami i namiętnościami.

Im zaś więcej umysł ludzki przedziera się z pozorów tego żywota do jego istoty; im pilniej rozważa własną odpowiedzialność za swe słowa i czyny; im gruntowniej ustala skutki czynów a i zaniechania pewnych czynów, tem poważniejsze wysnuwa konsekwencje, jak ma urządzić swe życie. A że takie badanie domaga się od nas ciężkich ofiar, dlatego większość ludzi przestaje wnioskować wtedy, gdyby wysnute wnioski stawały w poprzek ich miluchnym przyzwyczajeniom, albo gdyby tylko przeszkadzały im do dobrego strawienia objadu, lub odśloniły im ich lekkomyślny żywot. Ludzie nie lubią i nie znoszą prawdy, bo nie chcą się pozbyć swej połowiczności, swych wygódek.

Prawdziwa filozofia to cięcie w swe własne

ciało. Każdy rozumny wniosek domaga się ofiary i zwycięstwa charakteru nad zmysłowością. Tak. Każda wielka prawda, to anioł, który nam przynosi „kielich zaparcia się“. I dlatego to ułomna ludzkość nie szuka, bo nie chce prawdy. A gdy jej się prawdę głosi, to ona i prawdę i głosiela na krzyż przybija.

Wolność myśli to wielkie dobro. Ale wolność myśli można znaleźć tylko u tego, który naprawdę umie i dobrze i logicznie myśleć. A kto myśli logicznie? Ten, który nie pozwoli swym myślom kierować się zachciankami, uprzedzeniem, namiętnością lub z góry uplanowanym celem.

Niestety codzienne doświadczenie uczy, że każdy niemal nadużywa wolności myśli. Bo u każdego niemal to „niższe ja“ stoi w ciągłej sprzeczności i w nieustannej walce z „wyższym ja“. Nadto wola człowieka stroni od poznawania prawdy i odwraca ducha od spoglądania na sprawy ludzkie z tego punktu widzenia, które są mu „niemiłe“.

Myślenie jest ciągle pod wpływem interesów, namiętności lub zachcianek ludzkich, i dlatego myślenie nie jest wolne, ale jest ono przeważnie, jeżeli nie zawsze, kierowane pewną namiętnością, pewnym wytkniętym celem. Zmysłowość sprowadza myślenie na fałszywe tory. Dlatego często powtarzają ludzie słowa Cezara: „*stet pro ratione voluntas*“. Tak myślę, bo tak chcę. Wola zastępuje rozum.

Słuszne stawia Schopenhauer zapytanie: Czy byśmy byli w stanie wydać ściśle przedmiotowy, a więc sprawiedliwy wyrok o jakimś człowieku, gdybyśmy się poprzód dowiedzieli, czy on o nas źle, czy też pochlebnie się wyrażał? Odpowiedź łatwa. Bo miłość własna tak dalece pęta człowieka, iż tenże

z przyjemnością słucha, a i chętnie w pamięci przechowuje to tylko, co się do niego i do jego osobistych spraw odnosi. Wszystko zaś inne albo pomija, albo nawet przekręca lub fałszuje. W takich wypadkach myśl nie jest wolna. Garstka zaledwie wybrańców znajdzie się, w których myśl nie jest opanowana ani kierowana zepsutą wolą.

Otóż wynik taki. Nie wielu z ludzi jest zdolnych do wolnego myślenia; a tem samem i do rozwiązywania zagadnień ludzkości. Wolna myśl domaga się poprzód heroicznego czynu, któryby myśliciela postawił na szczycie zasad moralnych; czyli urobił z niego poprzód zacnego i na wskrós moralnego myśliciela.

Panowanie nad sobą wraz z zaparciem się doprowadza dopiero do zrozumienia głębokich prawd życiowych. Bo każda głęboka prawda wypowiada wojnę wszelakiemu samolubstwu, wojnę wszelakim złudzeniom i temu nieokiełzanemu pożądaniu zmysłowości. I dlatego już w starożytności domagano się od filozofa, aby poprzód ćwiczył się dłuższy czas w ascezie. Młodemu zaś adeptowi prawdy nakładano twarde śluby, zanim go uznano za godnego a i zdolnego, by mógł wstąpić „nie do świątyni samej“, ale do przedsionka świątyni mądrości. Co Słowacki tak określa:

„Świetniejsze serca wylatują przodem,
Umrą, — ich duchy lecą przed narodem“.

Bo tylko takie świetne a podniosłe serca są dla narodów i ludów drogowskazem. Starożytność tedy lepiej od modernistów rozumiała, ile to walk ponieść, ile to zwycięstw nad sobą odnieść trzeba, a i nad zmysłowością wszelakiego gatunku i nad namiętnością, lenistwem, uprzedzeniem, pychą, z góry upla-

nowanym celem, a dopiero potem można wstąpić na te wyżyny, z których się poznaje a i wydaje sądy czyste — przedmiotowe, czyli prawdziwe.

Nie zaprowadzi się tedy panowania rozumu w życiu w ten sposób, gdy się pozwoli na to, aby każda jednostka swój indywidualny rozum uważała za wskazówkę i za normę działania. Owszem takie postępowanie doprowadzi do panowania ślepego instynktu mas, a i nieobliczone porwy namiętnych a gwałtownych wicherzycieli. Bo wielkie a znaczne duchy tam tylko mogą panować i rządzić, gdzie w zasadniczych zagadnieniach na znaczenie życia bywa uznawany wyższy pogląd owych prawdziwie świętych a znacznych mędrców, którzy w swym życiu doszli wskutek wyższych bożych łask wraz ze swą żelazną niezomną wolą do onej moralnej wolności, która dopiero daje możliwość dobrego użytkowania z własnego rozumu.

Miłość powszechna, obejmująca wszystkich ludzi; miłość, jakiej uczył Jezus Chrystus, czyni ludzką myśl uniwersalną. Współczucie i troska nad dołą bliźniego czyni na wiedzącymi. Człowiek samolub myśli zawsze w ograniczony sposób, bo nie jest w stanie wżyć się w potrzeby i stanowisko innych. Myśli samoluba są zawsze cisne, egoistyczne. I dlatego to nigdy nie zrozumie szczęśliwy nieszczęśliwego, bogaty ubogiego, zdrowy chorego, zwykły śmiertelnik głębokiego myśliciela, zły dobrego.

Rozum wyklej jednostki nie wynajdzie prawdy ogólnej. Gdzie miłość Boża i prawda Boża panuje, tam znajdzie prawdę. Bo miłość Boża i prawda Boża to dwa pojęcia, które się z sobą zawsze splecają.

Otóż wolność myślenia prawdziwa nie polega na tem, ażeby się emancypować od poglądów drugiego,

ale na tem polega, ażeby się uwolnić i od swego własnego ograniczenia. Modernista i racjonalista nie może być wolnomyslnym, bo z góry już sądzi i wyrokuję według swych ciasnych zapatrywań, zachcianek, uprzedzenia i naprzód już uplanowanego celu. Taki nie jest mężem „wolnej myśli“, ale „niewolnikiem swej ograniczonej myśli“.

Kto jest jedyną powagą w zagadnieniach ludzkości ?

Ongi mówili Grecy: „poznaj samego siebie“. I słusznie. Bo bez poznania samego siebie nie można zrozumieć religii. Czem bowiem jest religia, jeżeli nie odpowiedzią na wszystkie zasadnicze zagadnienia człowieka. Ale bez poznania samego siebie a i natury ludzkiej nie może być mowy i o moralności. W poznaniu samego siebie jest wkorzeniony zdrowy i prawdziwy realizm.

Co prowadzi do poznania samego siebie? Zupełne oddalenie się od świata i samotny żywot. I dlatego słusznie twierdził Platon, że ci starcy, którzy w cieniu świętych dębów Dodony słyszeli w tychże szmerach głos boży, byli naprawdę mędrszymi od szeregu innych zwykłych śmiertelników. Bo tylko zdala od zgiełku i hałasu świata, w ciszy i odosobnieniu można zasłyszeć głos boży, można znaleźć prawdę. Wśród gwaru światowego oglądniesz tylko swe widzimisie.

A dlaczego to tak pojedyncza metoda jest tak trudna do wykonania? Bo niższe potęgi człowieka, jak lekkomyślność, samolubstwo, wygoda, niskie żądze, przeszkadzają stale postanowieniu iść choć raz na osobność w zacisze i tam dopiero szukać prawdy.

Ale człowiek powinien, nie tylko siebie samego poznać, ale i „siebie samego cenić“. I to jest potrzebą ludzką. Ale do cenięcia samego siebie chcą dojść ludziska w lekki sposób. A niestety, jeżeli chcesz siebie samego ocenić a i cenić, to musisz wejść w siebie, a nadto musisz poprzód za to, coś złego uczynił, odpokutować. A na to potrzeba znów dużo silnej woli, ale i zdrowej woli, któraby się dała kierować rozumowi. Ale na silną a zarazem i dobrą wolę mało kto się zdobyć może.

I to jeszcze nie starczy. Sama kontemplacja w zaciszu nie starczy do poznania a i do cenięcia samego siebie, jeszcze czegoś potrzeba. A co? „Zwalczając namiętności“. Bo kto w sobie nawet mały zły nałóg przezwycięży, ten zdobędzie większą znajomość i siebie i człowieka, aniżeli by mu to dały tysiące przeczytanych ksiąg. I wtenczas dojdzie do tego, że życie jego będzie czyste, a spokojne jak krynica i zawsze dojrzy co na dzień duszy spoczywa.

Czy na tem koniec? Nie. Miłość prawdy, dobra i piękna, oparta na bojaźni, która znów rozróżnia między pożytecznym a szkodliwym, doprowadza do rozróżniania między słusznym a niesłusznym, dobrem a złem. Ale trzeba i o tem pamiętać, że na samej pracy umysłowej nie podobna opierać ani moralnych dążeń całego społeczeństwa, ani pragnienia dobra, doskonałości, nieskończoności. A to dlatego, bo zaparcie się siebie, bo wyrzeczenie się własnego ja, bo nawet heroizm duchowy i męczeństwo, muszą mieć głębsze pobudki, aniżeli te, jakie dać może filozofia, rozum ludzki, lub frazesy humanitarne. A że tak jest, dowodzi tego historyja. Okresy najwięcej światła i humanitarne bywały okresami i religijnego i moralnego upadku, sprowadzały katastrofy spo-

łeczne a i narodowe i doprowadzały do zdżiczenia. Bo w takich okresach każdy wierzy w to, czego pragnie, co miłuje; a nie w prawdę.

Otóż jeszcze jednego najważniejszego środka potrzeba. O nim mówi Pascal tak: „Kto nie stoi w żadnym związku z Bogiem, temu Chrystus nie wskaże wyższego żywota“. Tak. Kto za cel swego życia uważa ten tylko świat, ten nie jest w możności nawet tego widomego świata poznać takim, jakim on jest w rzeczywistości. I dlatego człowiek, który nie obcuje z Bogiem, aby przeżyć jako tako życie, osłania i siebie i swoich blizkich pewnem złudzeniem. I taki naprawdę lęka się wglądnać w siebie, siebie poznać; ale również nie chce poznać istoty swego żywota i żywota swych bliźnich.

* * *

Dwa są rodzaje „utopistów“. Jedni, którzy się unoszą hen aż do gwiazd, a nie mając żadnych zasad realnych, pozwalają się lada powiewowi wzruszać. Drużdy, którzy tkwią w tej ziemi i dla niej tylko żyją, maluczcy, a nikczemni. Oba typy są groźne dla społeczeństwa wtenczas, gdy chcą ludzkości dyktować prawa moralności.

Idealista stawia przed ludzkie oczy ideały, a że nie zna demonicznej natury człowieka, więc nauki jego są czystą iluzją, zwodzą ludzi. Taki utopista nie znajdzie, a i nie doprowadzi ludzi konkretną drogą do ideału. Czemu? Bo taki reformator pisze i uczy bez łez i bez krwi, wykwintnie, gładko. Pisma jego rujnują tych, którzy mu na słowo wierzą. — Ci zaś realiści, co żywcem nędzę świata tego opisują, stoją w błędnem kole swych zapatrywań i poglądów i nikogo nie przekonają.

I w tem życiu codziennem oglądamy zapaleńców, którzy głoszą miłość bliźniego z entuzjazmem, ale nie znają człowieka w jego słabostkach, małostkach, nie znają motywów, które ludzi do czynu popychają; więc programy swe i plany budują na złudzeniu. Ale w tem szarem naszym życiu oglądamy znowu i zimnych a trzeźwych badaczy, którzy podobni do chirurga, skalpelem tną naturę ludzką, a widząc ją tak słabą a i brzydką, a czasem i potworną, gardzą ludźmi i zatracają w sobie „miłość bliźniego“. W ich pismach oglądasz nienawiść i wielką niechęć do ludzi. I nie dziwna to wcale rzecz. Taki pisarz zatracił illuzye i znieawidził wszystko i wszystkich.

Ale prawda stoi w pośrodku. Ale do prawdy prowadzi trudna i ciernista droga. Czemu? Bo niema nic trudniejszego, jak pogodzić głęboką znajomość słabej natury ludzkiej i ludzi z miłością, jaka im się należy. Kto pozna tę całą trudność, tę całą prawdę, ten musi, chcąc nie chcąc, przyznać, że to najtrudniejsze zadanie najlepiej rozwiązał i rozwinął sam tylko „Syn Boży Jezus Chrystus“.

Kto tedy doszedł w badaniu do tego, że poznał całą istotną prawdę żywota ludzkiego wraz z jego słabościami a i zbrodniami, a i zacnymi i szlachetnymi czynami, a mimo to miłuje tę ułomną ludzkość, ten już się zbliżył do „Osoby Chrystusa“. A jeżeli nadto przeżył i przebył wielkie a szlachetne cierpienia, to już łatwo mu przychodzi wywierać niepojęty wpływ na tych, którzy ich nigdy w życiu nie doznali.

W Jezusie Chrystusie oglądamy wszystkie te warunki zupełnie dokonane, warunki, które zagadnienia życia ludzkiego według wewnętrznej jego istoty na poznaniu opiera. Jezus Chrystus żyje w du-

chowym świecie, a nie jest idealistą ani utopistą, i nie buduje zasad życiowych na złudzeniu. Jezus Chrystus wie, że będzie zdradzony, zapoznany, ukrzyżowany, a śpiewane Mu „hosanna“ w błąd Go nie wprowadza. Cierpi od wszystkich opuszczony, a zna nędze ludzkie i słabości ludzkie na wylot, a mimo to w chwili śmierci żegna się z tym światem i z tym tłumem, co przed chwilą wrzeszczało: „ukrzyżuj go“, słowami przebaczenia i pokoju.

Idealista może miłować, bo wie, że go nikt nie opuści, nie zdradzi. Ale on nie zna natury ludzkiej i żyje złudzeniem i nie zajmują go owe piekące zagadnienia, które życie stawia codziennie do rozwiązania.

Realista zaś nie jest w stanie wznieść się do ideału, do owej wyższej miłości, która chociaż widzi wszystkie nędze i rany, mimoto nie zmienia się i miłować nie przestaje.

A człowiek musi z ludźmi żyć, z nimi obcować. A jeżeli zna ludzi i wie, jak marna jest ich wartość i dlatego przestaje ich miłować, to już nie dorósł do spełnienia tych zadań życia, które powinien spełnić. A jakżeż biednym jest twe życie w porównaniu z twym bliźnim, który też zna podłość ludzi, a mimo to, a raczej wbrew nawet temu, spełnia rozkaz Chrystusów — i miłuje. Chcąc nie chcąc musisz wyznać, że największa i jedyna powaga w tych najważniejszych zagadnieniach ludzkości jest tylko Jezus Chrystus, Bóg-człowiek.

Paweł święty w liście do Żydów tak się wyraża o Chrystusie Panu: „albowiem w czym sam ucierpiał i kuszony był, mocen jest i tym, którzy są kuszani do pomocy“ (2, 18). Te słowa wskazują na realną stronę Zbawiciela ludzi i uczą, że Jezus Chrystus

zna wszystkie dziedziny pokus, chociaż im nie pozwolił dotknąć w niczem Swej duszy.

I Pana Jezusa nie rozumieli ani żydzi, ani poganie. Pogańscy pisarze, którzy z wysokości swego ideału spoglądali na życie Chrystusa Pana, nie umieli Go pojąć, a to dlatego, że cierpiał, że był wyszydzany, że umarł na krzyżu; i — nie przestał miłować. Rzymianin i Grek nie mógł tego zrozumieć. Czemu? Bo poganie pojmowali tylko „wszechmoc“; o dobroci i miłości nie mieli pojęcia, bo dobroć i miłość zawitały na świecie dopiero z Chrystusem. Ale Chrześcijanie rozumieją, że dlatego Bóstwo przeszło przez nędzę, szyderstwo i śmierć, aby słabości ludzkiej przeciwstawić majestat ducha. Bo „iść na Golgotę“ nie znaczy „tylko cierpieć“; ale znaczy „przeżyć wszystkie przeciwieństwa, jakie się mieszczą w duszy ludzkiej przeciw Bogu, przecierpieć za nie, a mimoto ani Boga, ani ludzi nie opuścić, wszystką nędzę ludzką i dług ludzkości na siebie wziąć, by nad nimi — tryumfować“.

I dlatego to tylko i jedynie tylko Jezus Chrystus, Bóg-człowiek, zdołał przeniknąć cały żywot ludzki, cały świat zwyciężyć i ludziom dać taką naukę, która nie tylko odpowiada rzeczywistym stosunkom życia, ale równocześnie wznosi człowieka ponad rzeczywistość; naukę Bożą i ludzką, godną Boga na niebie, a zupełnie zaspakajającą potrzeby człowieka.

Ale Jezus Chrystus nie tylko dał naukę ludziom, ale ją poprzód sam wykonywał. I tak gdy w starożytności miłość sięgała u wielu tylko do murów ojczystego miasta, a jeszcze nadto była podszyta pychą a i nienawiścią obcych, to Chrystus Pan od razu pokazuje światu serce nieskończenie szerokie. Serce, co kocha Ojca w niebiesiech, a w Ojcu wszyst-

kich, i dobrych i złych, i uczniów i wrogów, i swoich i obcych. Nadto życie Zbawiciela to jedno pasmo dobrodziejstw. O wszystkich dbał, choć sam nie miał, gdzieby głowę skłonił. „Liszki mają jamy, a ptacy niebiescy gniazda; lecz Syn człowieczy nie ma gdzie skłonić głowy“ (Łuk. 9, 58). Na krzyżu modli się za zbójców. Wzór, który prześciga wszelką myśl ludzką. Na krzyżu powierza Matkę uczniowi. Wzór dobrego syna, tak blisko nas stojący. I dlatego to Jezus Chrystus jest i najidealniejszym i zarazem najszlachetniejszym pierwowzorem, jest powagą boską i ludzką. Dla ludzi jest wszechmocnym, dla siebie bezsilnym, bezbronnym. Dla ludzkości prawodawca, powaga Boża. Bo wydając prawa, tak mówił: „a ja wam powiadam“ jako wasz Bóg i Pan.

Otóż religia Chrystusowa dopiero, która się nie opiera na pewnych tylko władzach duszy, ale wszystko przenika a zarazem usposabia całego człowieka do wyższej doskonałości, może dać ludzkości i daje i moc i siłę i ochotę do spełnienia tychże praw moralnych. I dlatego to tylko religijny i wierzący człowiek może dążyć i dąży do nieskończoności, a i do miłości Boga, i ogląda moralny porządek w świecie, w którym rządzi Opatrzność. I religijny czuje swą niemoc, swą ograniczoność i budzi się w nim świadomość upadku grzechowego, a zarazem i pragnienie zbawienia. I dlatego to u wierzącego sumienie jest mu drogowskazem, a u niewiernego sumienie jest najslabszym punktem. Wierzący wie o odpowiedzialności własnej przed Wyższą Istotą, przed Bogiem; a gnębiące go poczucie winy i grzechu pozbawia go wewnętrznego zadowolenia, obawa zaś przed karą tłumi wszelką radość w duszy. I dlatego to cnota i pobożność Świętych pociąga tysiące ludzi do

Boga; a uczoność najtęższych mędrców tego nie dokonuje.

Z tego wyłania się ta prawda. W chrześcijańskim Objawieniu i w Kościele katolickim każdy człowiek osiąga zaspokojenie wszystkich najwyższych pragnień ducha swego, o ile duch jego szuka i dąży do prawdy; ale również osiąga i zaspokojenie najgłębszych tęsknot serca swego o ile to serce zwraca się do Źródła Prawdy i Piękna, ale do rzeczywistego Źródła. Bo w Chrystusie Jezusie wypełniły się stare czasy, a ostatni okres świata wziął w nim początek. Jeden jeszcze naedździe wielki akt dramatu ludzkości, a to „Sąd i przyjście Chrystusa Pana jako Sędzię świata“. Bo tylko Jezus Chrystus jest postanowiony przez Ojca Sędzią świata. Kogo on ułaskawi, będzie żył; kogo odrzuci, ten zginie. „Wszelki tedy, który mię wyzna przed ludźmi, mówię Jezus Chrystus, wyznam go ja przed Ojcem moim, który jest w niebiesiach. A któryby się mnie zaprzął przed ludźmi, zaprzę się go i ja przed Ojcem moim“ (Mat. 10, 32), A wyznać Chrystusa przed ludźmi, znaczy wyznać, że Jezus jest Chrystusem, Zbawicielem, Synem Boga żywego.

Zarzuty modernistów.

Modernista mówi: Jeżeli jednostka sobie pozostawiona z wielkim trudem dojść może do poznania prawd życia, jeżeli bez przewodnictwa Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła popaść musi w błąd, to dla czego kultura ludzi, stojących poza Chrystusem i Jego Kościołem, nie uległa dotąd zniszczeniu?

Odpowiedź na to pytanie taka: Jeszcze u tych ludzi działa autorytet religijny z poprzedniego czasu ich żywota. Ogromna liczba ludzi niewierzących żyje produktami dawnego swego religijnego wychowania; a myśli ich, które określają ich codzienny żywot, nie pochodzą z indywidualnego ich zapatrywania się na sprawy, ale są wynikiem zasad utwierdzonych przez religię w ich młodości. Ilu to ludzi zachowuje w czystości i nieskazitelności wierność małżeńską, chociaż mają na tę świętą sprawę modernistyczne zapatrywania. To, co w nas jest najlepszego, jest to spadek z ubiegłych czasów. Słońce już zaszło, ale niebo naszego żywota jaśniej jeszcze i ogrzewa się onem słońcem, którego teraz już nie widzimy.

Słusznie tedy pisze Fr. W. Foerster, że nic nie może zastąpić religii, jako spoidła społecznego. „Nie mówcie mi, że jest możliwe etyczne prowadzenie życia bez podstaw religijnych. Przykłady przez nas

przytoczone ludzi bezreligijnych, nieposzlakowanych moralnie, to nie są czyste dowody; ci ludzie przeszli lata wychowania religijnego, lub z tysiącnych źródeł stosunków, instytucyj, literatury czerpali natchnienie i błogostawieństwo religii i żyją nieświadomie na rachunek poglądów i wpływów, które na najwyższym pięttrze swego umysłu odrzucają lub może nawet wyśmiewają... Nie rozumiejcie mnie źle. Nigdzie nie zaprzeczam, że moralność można uzasadnić przyrodniczo lub naukowo-społecznie, ale zapał ożywczy, zdolny pokonać samolubstwo i namiętność, może tylko z tych wyższych pobudek wypłynąć. Pod tym względem wolnomyslni ludźą się często, nawet i co do siebie samych, bo właśnie w moralnym bycie żyją, nie wiedząc o tem, na koszt dziedzictwa darów religijnych. Podobnie, jak dzisiaj jeszcze otrzymujemy światło dalekich gwiazd, które już dawno pogasły, tak na etycznych przekonaniach wielu ludzi błyszczą jeszcze złocista poświata wierzeń, dawno już wygasłych w ich umysłach“. (Chrześcijaństwo i walka klas. Warszawa 1910 st. XIV).

Ten, kto odrzucił wiarę Chrystusową, powinien odrzucić i Jego moralność, czyli powinien dojść do ostatniej konsekwencyi i nie stać pod suggestyą religijnej przeszłości. I taki przewrót już się dokonywa we Francyi. Już tam obecnie świecka moralność zęświeczcza się coraz więcej. A wynik taki. W zasadniczych zagadnieniach o społeczeństwie ludzkim, panuje tam ogólna umysłowa i moralna anarchia. I wnet tam przyjdzie, bo z logiczną koniecznością przyjsć musi do tego, że każdy nauczyciel i w najniższych wiejskich szkołach, będzie uczył dzieci „swoich“ moralnych zapatrywań i swojej własnej etyki. A wynik? Młodzież w miejsce autorytetu,

w miejsce religii i tradycji, brać będzie za podstawę życia i działania — swe własne osobiste zapatrywania i zachcianki samolubne. I nie będzie religii ni moralności, i nie będzie powagi — ale też nie będzie i pokoju i szczęścia tylko anarchia. A żeśmy się nie omylili w tem twierdzeniu, dowodzi artykuł „Czasu“ Nr. 145 Kraków 29. marca 1912, który w streszczeniu podajemy:

„Wśród refleksyj, jakie snują dzienniki paryskie na temat ostatniej zbrodni bandytów samochodowych, pierwsze miejsce zajmuje kwestya, czy sądownictwo francuskie odpowiada we wszystkim wymaganiom, stawianym przez społeczeństwo. Na ogół jednak surowe przestrzeganie porządku społecznego w wykonywaniu ustaw, stało się w sądach francuskich regułą. Nie zawsze przestrzegali jej natomiast sędziowie-obywatele przysięgli. Głośne procesy ostatnich lat niejednokrotnie dostarczyły materiału do spostrzeżeń i uwag nad sentymentalizmem, płynącym z podkopania zasad moralnych! Wydarzały się uwolnienia nieraz zdumiewające, które nie chybiały wpływu na zbrodnicze jednostki, tembardziej, że prasa przewrotowa umiała zawsze werdykt taki wytłomaczyć, jeżeli nie podniosła go niemal do godności „aktu sprawiedliwości społecznej“ i poprawki niedomagań dzisiejszego porządku świata.

„Nie pomoże jednak i najenergiczniejsza represya, jeżeli równolegle z nią nie będzie szła akcja zapobiegawcza. Społeczeństwo ma takich ludzi, jakich sobie wychowa. Jeżeli zaś porówna się statystykę zbrodni we Francyi z innymi krajami, widzi się w ostatnich latach taki przyrost procentowy tak co do ilości i „jakości“, że zbadanie stosunku między wychowaniem szkolnem

młodych pokoleń, a ich moralnością nasuwa się wszystkim z coraz większą natarczywością. Są jednak fakty i daty, których wymowa jest jasną. Szkoła, w której miejsce moralności religijnej zajęła „świecka“ moralność bez sankcji, dostaje w opinii przeważającej kraju coraz gorszą notę, zwłaszcza, że konduita nauczycielstwa ludowego wykazuje niepokojące zboczenia. Społeczeństwo z niepokojem śledzi związki między anarchistycznymi syndykatami *Confédération Générale du Travail*, a stowarzyszeniami nauczycieli; doktryny antypatryotyczne weszły w krew całego ich pokolenia; rzekoma neutralność religijna szkoły sprowadza się bardzo często do wpływów materialistycznych, równie cynicznych, jak filozoficznie banalnych. Nie może być zdrową moralnie szkoła, przeciw którym tworzą się stowarzyszenia rodziców, zmuszonych ścigać sądownie i dyscyplinarnie nauczycieli za gwałcenie uczuć religijnych i patryotycznych młodzieży, za korumpowanie młodych dzieci doktrynami przewrotu. Rzecz charakterystyczna, że po zbrodni w Montgeron znów znaczna część opinii zwróciła się w stronę szkoły, tak jak człowiek zraniony chwytą się instynktownie za miejsce, w które padł cios. Szkoła okazała się znów najsłabszym punktem trzeciej republiki“.

Z przedstawionego w r. 1912 francuskiej Izbie deputowanych sprawozdania o zatrwającym postępie alkoholizmu we Francji należy zanotować kilka liczb. Od 30 lat używanie alkoholu, skutkiem systemu protekcyjnego, uprawianego przez rząd, wzrosło w czwórnasób, tak, że dziś Francya liczy

486.000 szynków, co przy 39-milionowej ludności wynosi średnio jeden szynk na 80 osób. Wraz ze zwiększonym użyciem alkoholu wzrasta i liczba zbrodni. W r. 1880 zanotowano ich 139, w 1910 zaś 459, a liczba obłąkanych za powyższy okres czasu z 11.000 podskoczyła do 75.000, co wynosi 2 obłąkanych na każdy 1000 mieszkańców, śmiertelność zaś dzieci w pierwszym roku wskutek nałogu rodziców wynosi 15 na każde 1000 urodzonych dzieci.

I inaczej być nie może. Kto bowiem nawet biernie przebywa wśród zazdrosnych, pełnych nienawiści, lub cynicznych ludzi, ten wchłania od nich w siebie trujący pierwiastek, daleko niebezpieczniejszy od samej trucizny. A to dlatego, bo działanie trującego pierwiastka intelektualnego jest o wiele od zwykłej trucizny delikatniejsze i bardziej skombinowane i ukryte. Cudze złe myśli wtargają się i wdzierają w głąb naszej istoty, jak zgniłe wyziewy. Niebaczny chłonie w siebie jad trujący, czy on jest kłamstwem, czy rozpustą, czy cynizmem, czy niewiarą. Z początku czyni to człowiek z oburzeniem, później z obojętnością, a wkońcu przechodzi to w jego żyły i krew — i wyrabia fałszywe przekonania.

W ustroju społecznym, którego komórkami są ludzie, muszą się odzywać symptomy chorób, a i choroba samej nawet duszy powstać, gdy się narusza prawo boże i prawo natury człowieka. Bo człowiek to wyjątkowe zwierzę, które obok zaspokajania potrzeb fizycznych i towarzyskich, szuka wiecznie czegoś poza światem. A szukał tego dziki, szuka i najwyższą kulturę posiadający. I dlatego to u wielu znakomitości po utracie wiary zostaje smutek i niepokój.

W wielkich miastach i w ogniskach fabryk ta

duchowa anarchia obejmuje w posiadanie umysły i serca tłumu. Już tam tworzą sobie z dobrego i złego, z prawdy i fałszu, własną etykę, która znów tak prędko się zmienia, jak prędkim zmianom ulegają namiętności ludzkie. I dlatego to tyle tam niemoralności, tyle brudu, egoizmu, wyczyszczenia, bandytyzmu, tyle tam mordów.

A z tego stanu znów wyłania się brak charakterów w społeczeństwie, a tem samem łatwe ustępowstwa podnietom i namiętnościom. A przecież wiadomo, że wolność ani się utrzyma, ani zdobędzie bez tegoż charakteru obywateli. Bo kto nie wstępuje w życie z zasadami trwałymi i pewnymi, ale dysputuje ze swymi nałogami lub zachciankami, ten już idzie za swą indywidualną wolnością i ma na celu tylko i wyłącznie tylko swe własne dobro. Ale gdy takie przekonania obejmą w posiadanie wszystkie dusze proletariatu, zwykłego czy umysłowego, — natenczas biada społeczeństwu.

A to potwierdza i August Comte, ten, który usiłował zastąpić religijny autorytet nową nauką z życia wziętą. On zowie indywidualizm „chorobą zachodnich krajów“, która zrujnuje kulturę europejską.

I jeszcze jedno pytanie stawia modernista wolnomyślny: Jak ja mam pogodzić moje własne sumienie, moją wolną osobistość, moją godność z autorytetem w religijnych zasadniczych zagadnieniach. Ubranie każe sobie zrobić zdolnemu krawcowi, ale czy zapatrywania na życie mam także przyjąć od pewnej instancji? Czy da się pogodzić moja wolna osobistość, moje indywidualne zapatrywanie z obcą władzą i powagą? Czy ja mam służyć ślepo władzy nawet w tych sprawach, których nie rozumię?

Na to jest taka odpowiedź. Nasze czasy potrze-

bują więcej jeszcze pedagogicznej powagi, któraby się wdzierą w najtajniejsze skrytki indywidualnej duszy i domagała się poddania wolności a i osobistego żywota pod powagę i posłuszeństwo. Czemu? Jeżeli ja poznam coś, co przekracza mój horyzont poznawania, to poświęcam moją osobistą duchową samodzielność. Ale jeżeli ja tego nie poznam, to znowu nie mogę wyjść z mego ciasnego horyzontu i dużo tracę. Wolę tedy poświęcić mą samodzielność, by nowe horyzonty poznać, a tem samem wznieść się wyżej i uszlachetnić.

I jeszcze jeden zarzut wolnomyślnych. Podstawą mej osobistej godności jest owo postanowienie, że w sprawach religijno-moralnych nie uznaję nad sobą żadnej instancyi, a uznaję tylko mój „własny rozum“; zaś w sprawach etyki uważam za najwyższego sędzię „me własne sumienie“. To hasło o własnym rozumie, o własnym sumieniu działa jak narkotyk na szerokie koła społeczne, a to dlatego, że ma za sobą „częstkę prawdy“.

Prawda religijna posiada swą przedmiotową powagę i to niezawisłe od tego, czy pewna jednostka przyjmuje te prawdy, lub nie. Ale ta sama prawda religijna nabiera znaczenia dla mnie wtenczas dopiero, gdy ją pojmuję w mej duszy i jako powagę uznaję.

Otóż błąd osobistego zapatrywania się na te wielkie sprawy polega na tem, że osobisty rozum „sam z siebie uważa się za zdolnego wysnuwać z siebie samego najwyższą mądrość“. A wynik tego jest taki, również błędny, że gdy rozum czegoś poznać, zbadać, określić nie jest w możności, to zaraz temu wypowiada posłuszeństwo. Ale gdyby ów człowiek zechciał dążyć z całą sumiennością do pozna-

nia samego siebie, gdyby zechciał oswobodzić myśl swoją z własnej miłości a i zmysłowości i namiętności, to natenczas poznałby prawdę i z całym zaufaniem ugiął przed nią kolana.

Co o rozumie, to i o sumieniu da się powiedzieć. Prawda, że w życiu musi się postępować według rozkazów własnego sumienia. A religia Chrystusowa, która w najdoskonalszy sposób poddaje człowieka pod nadprzyrodzoną powagę, udziela sumieniu każdego wierzącego potęgę, której nic nie złamie. Ale mimo to, gdzie brakuje sumieniu owej nieomyślnej zasady, jaka wypływa z wiecznych prawd, natenczas sumienie błądzi i miejsce głosu bożego zastępuje głos stworzenia. Dlatego to owo twierdzenie, „że wolno każdemu o religii trzymać wedle upodobania, że jedynym sędzią dla każdego jest jego własne sumienie, że więc każdemu wolno ogłaszać zdania nawet przewrotne i gotować przewroty w państwie“ potępił Grzegorz XVI. w encyklice: „Mirari vos“.

Przyswojenie sobie jakiejś prawdy, ożywia tę prawdę. To jest pewnik. Ale błędem jest twierdzenie, że nie można czegoś za prawdę uznać, jeżeli się tego odrazu nie zrozumie. W takim bowiem wypadku człowiek byłby sam sędzią prawdy.

I znowu jest prawdą, że człowiek nie powinien się poddać „zewnątrznie tylko“ prawdzie na powadze opartej, ale obowiązany jest użyć wszystkich swych sił, aby prawdę w istocie jej poznał, pojął i zrozumiał. Lecz w tej ważnej sprawie nie trzeba zapominać i o tem, że najwyższe prawdy poznaje się w inny sposób, aniżeli te „rzekome niby prawdy“ przez gazety lub gawiedź podawane.

Najwyższe prawdy mają to do siebie, że one

człowieka wznoszą w wyżyny, a to na wyżyny nam nieznane, i dlatego też nie mogą być pojęte i zrozumiane. Prawdy religijne nie są przecież echem naszych codziennych zwyczajów. O tem nie wolno zapominać. Ale i na to trzeba zwrócić uwagę, że owe religijne prawdy sprzeciwiają się bardzo często ludzkim nawyczkom i nałogom, że one burzą illuzye ludzkie, przewracają domki z kart budowane i odrzucają mądrość pismaków. I jakżeż tedy można się domagać, ażeby człowiek swym rozumem maluchnym mógł owe wieczne prawdy zbadać i zrozumieć.

Mimoto niektórzy tak rezonują. Ja usiłuję słowa Chrystusa i wszystkie Jego nauki sprowadzić do mego zakresu zapatrywania się, potem je udowodnić mojem doświadczeniem i porównać z tem, co ja za korzystne uważam. Jeżeli tedy nie podołam nauk Chrystusowych pogodzić z mojem zapatrywaniem się na świat i z mojami potrzebami, to je odrzucam.

Takie rezonowanie jest głupie. Przecież to każdy przyznać musi, że człowiek nie jest w stanie objąć i pojąć tego, co prześciga horyzont jego myśli i badań. Tu stoi taka tylko zasada: „Credo, ut intelligam“, „Wierzę, abym zrozumiał“. Tak. Ja muszę poprzód przestać w siebie wierzyć a i z pokorą uznać, że te prawdy prześcigają me pojęcia. A dopiero gdy to uczynię, gdy się zupełnie samego siebie zaprę, naticzas przygotowuję w sobie podstawę do wyższego żywota. Bo tylko w taki sposób usunę uporny sposób mych przypadkowych doświadczeń i nieuzasadnionych teoryj. Nie ja mam sądzić najwyższe prawdy, ale ja mam sądzić siebie według tych najwyższych prawd. I to jest dopiero prawdziwa emancypacja. W ten sposób powaga przedmiotowa kieruje mem osobistem życiem. Tak. Dużo trzeba poświęcić czasu

i badań, dużo potrzeba skupienia ducha, zanim ma dusza przyjmie owe wiekuiste prawdy i we mnie obudzi się i ożywi pragnienie wieczności. A gdy się to stanie, to zagości w myśli ludzkiej błogi spokój i niczem niezamącona pogoda.

Barżdo trafne słowo wyrzekł Schopenhauer. Z wielkiem dziełem sztuki trzeba się tak obchodzić, jak z udzielnym księciem lub królem, t. j. nie wolno poprzód mówić, ale czekać, aż on pierwszy przemówi. To samo trzeba powiedzieć o najwyższych prawdach bożych. Potrzeba skromnie milczeć dopóty, póki ta wielkość nie przełamie naszych małostek, póki nas z nas samych nie uwolni i pierwsza do nas nie przemówi.

A wolnomyślni postępują odwrotnie. Taki mōdernista uważa siebie za udzielnego księcia, za mądrego i wszechwiedzącego i dlatego wszystko podaje ostrej krytyce. On tylko w siebie wierzy. I ta jego pyszałkowatość przeszkadza mu wznieść się wyżej. On domaga się, ażeby prawdy boże przed nim się legitymowały.

Coby kto powiedział o takim astronomie, który, gdyby przy przerabianiu teoryi Kopernika znalazł jakiś błąd, zamiast powiedzieć sobie, że sam się pomylił, nazwałby raczej Kopernika głupcem. A za dni naszych, gdy ktoś w nauce Kościoła znajdzie jakieś nibyto przeciwieństwo, to nie powie sobie, że on nie dorósł jeszcze do tego, ażeby mógł te prawdy krytykować, albo że mu brakuje dostatecznej nauki, badań, lub życiowego doświadczenia, ale zaraz lekkomyślnie woła: „religia jest nie do zrozumienia, a więc ją odrzucam“.

Szkoła Pythagorasa domagała się, ażeby uczeń długie lata milczał, zanimby mógł otrzymać nazwę

„ucznią mądrości“! A cóż dopiero powiedzieć o religii Chrystusowej, która ogromem swym, cudownością, głębokością, mądrością prześciga wszystko, co ludzkie. Czyż i tu nie potrzeba milczenia, nauki i badania, a to przez wiele i bardzo wiele lat. A nawet, gdyby i po wielu latach kto nie zrozumiał jeszcze tej nauki, to i tak nie wolno mu prawd tych odrzucać, ale raczej sobie powiedzieć: a może nie dorosłem do tego, może mi brak doświadczenia, albo brak tego spokoju, tej ciszy, jakiej potrzeba, aby poznać te nadziemskie prawdy. Kto taką idzie drogą, ten już pogodzi powagę z wolnością.

Platon powiedział raz, że po długim wtajemniczeniu się w badanie prawdy, wytryska iskra, która całą duszę rozpala. To samo można odnieść do prawd objawionych. Po długich naukach i rozmyślaniach przy pomocy modlitwy wstępuje w duszę prawda, rozświetla ją, a w sercu powstają nadziemskie zachwyty i uczucia, a te „uczucia będą srebrne, jak gołębica“, używając porównania Słowackiego. I poznana prawda uniesie zmęczonego ale szczęśliwego ducha hen na wyżyny boże, gdzie panuje cisza, pokój, radość i nasycenie.

My nie jesteśmy w możności poznać widomego świata, jakim on jest, bo my gubimy się w hałasie świata. My nie jesteśmy w stanie poznać nawet samych siebie, bo my wszędzie bywamy, tylko nigdy w tajnikach naszej duszy. A cóż dopiero mówić o poznaniu najwyższych prawd. Dlatego rozumię św. Augustyna, gdy się tak użala: „Tyś o Boże był we mnie, ale ja byłem poza sobą“. Tak. Człowiek sobie pozostawiony nie zna siebie, a mniej jeszcze Boga, który w nim mieszka. A przecież każdy powi-

nien chociaż raz w życiu powtórzyć słowa Słowackiego:

„Nie zostało mi nic — oprócz Boga“.

Obecnie wyzwalają się ludzie z pod autorytetu religii i Boga i Jego Kościoła. I co się dzieje? Czy są wolnymi i szczęśliwymi? Nie. W miejsce nieomyślnej powagi bożej przyjmują powagę broszur i gazet, które im codziennie coś nowego do wierzenia podają. A to jest pospolitość, to małostkowość. I trafnie ten smutny stan skreślił Wyspiański w „Weselu“:

Duch się w każdym poniewiera
że czasami dech zapiera;
takby gdzieś heł gnało, gnało,
takby się nam serce śmiało
do ogromnych wielkich rzeczy.

A tu pospolitość skrzeczy,
a tu pospolitość tłoczy
włazi w usta, w uszy, oczy;
Duch się w każdym poniewiera.

My jesteśmy jak przekłęci,
że nas mara, dziwo nęci.
Pieścimy się jeno snami.

Tak. Zamiast nieomyślnej powagi bożej przyjmują ludzie powagę człowieka, ale lichą, bezpodstawną, a tak często szkodliwą. Mędrszym od tych niby to uczonych wolnomyślicieli jest nasz kміeć polski, który tak mówi:

O bo lo nich to rzecz nowa,
co jest lo nos rzeczą starą,
inszom się ta rzondzom wiarą.

(„Wesele“).

A więc i u tak zwanych „wyzwolonych“ nie ma wolności myśli, ni wolności sądu i sumienia, ale jest

tylko powaga ludzka, zmienna. I dlatego to mają oni wielkości jednodniowe, a i te zwalają codziennie niemal z piedestału, aby znów na jakiś czas innych tam umieścić. I ciągle się powtarza to, że co wczoraj czczono, tem się dzisiaj gardzi. A te surrogaty nowych myśli nie przynoszą ludziskom ani pokoju, ani nowych sił, ale budzą tylko ciągłe niepokoje, niezadowolone, gorzkie, rozpacz. I znów niestety spełnia się owo Wyspiańskiego:

 Nad przepaścią stoję
 i nie znam, gdzie drogi moje.
 Stacza się sercowa bitwa,
 opadam co raz na głazy
 mrze na ustach modlitwa.

I wyrzywa się z tych biednych, zbłąkanych, rozpaczonych dni taki straszny wykrzyk, co tchnie tylko nienawiścią i krzyczy:

 Niechby się raz wszystko spali,
 zetrze się, na proch się zsybie,
 jak kolumny na gruz się rozwali,
 byśmy padli potruć.
 Nieszczęścia wołam!

(Dziennikarz w „Weselu“).

Tak. Święte są słowa Słowackiego, że tylko taki człowiek, który jest „Aniołem, przetrwa wśród burzy i nocy, ujrzy świt zorzy, która już nigdy nie zgaśnie“, i wróci do Boga czysty i jasny. Takimi byli w wiekach wiary geniusze, potężni mężowie i silne charaktery.

Owoce wolnej myśli.

Nietsche oskarża nasz wiek o to, że w dziedzinie oświaty istnieją filistry, że wszędzie miernota panuje, która usiłuje wykreślić w życiu wszystko, co ją przerasta. I to jest niestety prawdą. Literatura stała się trucizną. Przez szerzenie niewiary dąży do rozluźnienia związków między narodami, a w narodach między obywatelami. Pragnie zepsuć dusze ludzkie, by je potem uczynić podatnymi do spółnictwa w złem.

Do takich złych filistrów u nas należą Niemojewski i Przybyszewski. Niemojewski Andrzej, wódz wolnej myśli, to apostata, który taką nienawiścią dyszy ku Chrystusowi Panu i Kościołowi, że wolno postawić przypuszczenie, iż w jego arteriach nie płynie krew polska, albo że stoi na żołądździe żydów. Ten filister drwi sobie ze wszystkiego, co znaczne a wielkie; jest nawskróś zły i pełen obłudy. Pięknymi frazesami demoralizuje i rozkłada społeczeństwo polskie. Pisma jego zatrąły ducha młodzieży polskiej i popchnęły wielu do samobójstwa. Jednym z tych nieszczęśliwych ofiar, to student gimnazjalny w Rzeszowie, Zwoliński, który zakończył swe życie w r. 1910 samobójstwem. A był to pilny uczeń i pochodził z uczciwej rodziny, znanej z niewzruszonych

katolickich zasad. Po śmierci znaleziono przy nim „Katechizm wolnego myśliciela“, którego autorem jest Niemojewski. W katechizmie tym zakreślił samobójca ołówkiem takie miejsca: „Czem jesteś? — Częstką wieczystego świata. Co stanowi o jego wieczności? Niezniszczalne jego pierwiastki. Nie lękasz się śmierci? Lękałem się dawniej. Lęk dała mi natura, abym bronił swego życia. Dziś pozbyłem się jego, albowiem broń lęku zastąpiłem bronią wiedzy“.

Snać „broń wiedzy“ nie starczyła, skoro młodzian dopuścił się samobójstwa.

A przecież mogłoby być inaczej; mogłaby ta prawda, której tętno bije w piersi młodziana, którą każdy młody wnosi z sobą na świat, póki jej nie zaszarga w błocie rozpusty i w niewierze — mogłaby przebić tę skorupę. Ma się wulkan w sercu, ma się prochnię, która od jednej iskry może wysadzić zło. A jednak w końcu niemoc, — bo się nie ma wiary.

Niemojewski zapomniał, że jedyna możliwa droga postępu to podnoszenie i moralne uszlachetnienie człowieka, a nie spychanie w dół ku nizinom zbydlęcenia. Bo przekłety, kto podaje nóż tłumom zdziaczałym, kto budzi instynkta zwierzęce, kto burzy wiarę, jedyną jeszcze ostoję życia, ładu i porządku. Niemojewski powinien znać tę prawdę historyczną, że narody upadłe, podbite, rozdzielone, jak giną przez rozstrój wewnętrzny, tak mogą odżyć, kiedy wzrost i potęga ich sił moralnych są tak wielkie, że rozsadzają obręcz, która je ścisnęła. A naród nie może żyć bez zasad moralnych, sformułowanych prawdziwie tylko jedynie w katolickim Kościele. Tak! Niemojewski powinien o tem pamiętać, co Wypsiański włożył w usta Stańczyka:

Puszczyku!

ale świętości nie szargać,
bo trza, żeby święte były,
ale świętości nie szargać,
to boli. —

Równy Niemojewskiemu jest Przybyszewski. Pierwszy wyszydza wiarę, drugi niszczy wszelką moralność. A co uderza, że taki Niemojewski potępia Przybyszewskiego w „Warszawskim Słowie“, w którym tak się o Przybyszewskim wyraża: „Dokoła ciebie zwarła się młodzież, która wraz z tobą piła, uwodziła cudze żony, albo je strzelała. I kiedy przedtem było zaszczytnem miano porządnego człowieka, teraz pijak i szubrawiec stał się tytułem honorowym. Splugawiłeś wszystko, czego się dotknąłeś, splugawiłeś każdego młodzieńca, którego wzięłeś pod swoją opiekę, splugawiłeś każdą kobietę, do której się zbliżyłeś. A ponieważ narzucałeś się ogółowi tajemnicami swego życia prywatnego, przeto nie masz teraz prawa nakazać ludziom milczenia. Szerzysz publiczne zgorszenie, więc i publicznie musi być tobie wszystko powiedziane. Z duszy otaczających cię młodzików i zwarowanych kobiet chciałeś wypłenić wszystko poczucie obowiązku prywatnego i publicznego, a największą pieczę otaczałeś głupich i głupie, bo ci i te wierzyli ci ślepo i hałas o tobie czynili. Pisz, twórz, ale nie krzywdź. Żyj długo, ale nie psuj ludzi. Myśl, czuj, ale nie drwij i nie blaguj“.

I w Galicji, utalentowany piewca podhalańskiej przyrody, Kazimierz Tetmajer, chwali się niestety w liście do „Kuryera Warszawskiego“ w r. 1912, „z miłości natury, z miłości kraju, miłości społecznych pojęć i miłości swobody“, i przyznaje się do „kultu greckiego piękna w miłości“, co znaczy mó-

wiąc wyraźniej „do cynizmu i pornografii“, któremi przepełnione są niektóre jego dzieła, jak „Król Andrzej“, „Romans panny Opolskiej“. Ale w utworach jego nie ma ideału chrześcijańskiego, nie ma tej szlachetności, wzniosłości, tego prawdziwego rozumu, tej prawdy i piękna, które wiążą człowieka z Bogiem. Tetmajer tkwi w ziemi; bo albo stracił „wiarę“, albo jej nie miał; i dlatego niema w jego dziełach ideału, tylko błędne cuchnące ogniki, dlatego rozmiłował się w szumowinach i śmieciach społecznych i truje naród polski, który od początku istnienia swego czerpał i pił natchnienie ze źródła, które tryska u stóp Krzyża Chrystusowego. Tetmajer to nie polski poeta, to poeta bankierów, poeta blagi, poeta truciciel“. Tak go ocenia „Rola“ (Warszawa, r. 1912, 6. kwietnia str. 216).

Słuszną czyni uwagę Teodor Jeske-Choiński: „Pisarz, obniżający znaczenie słowa drukowanego, albo okłamuje się rozmyślnie, albo nie ma pojęcia o sile sugestyi i psychologii przeciętnej inteligencji, która bierze swoją mądrość teoretyczną z drugiej, trzeciej, z czwartej nawet ręki. Kupiec, adwokat, lekarz, rolnik i t. d., zajęci przez cały dzień sprawami zawodowymi, miewają zwykle bardzo mało czasu do zastanawiania się nad zagadnieniami filozofii, nauki i sztuki. Myślą za nich autorowie, a tych znów uprzystępniają sprawozdawcy dziennikarscy. Wybiegłszy z ram książki i prasy, okrąża wszelka teoria powoli organizm społeczny, ogarnia stopniowo jego części pojedyncze, płynące z góry na dół, aż przejdzie w krew całości, staje się ciałem“. (Pozytywizm. Warszawa, 1908, str. 70).

Ot trują dusze słabe, młode, nieświadome. A jak taka trucizna działa, to świetnie określił Jan Joer-

gensen w paraboli pod tytułem „Cień“, którą z warszawskiej „Roli“ przytaczam:

„Do mieszkania poety zadzwonił ktoś o północy. Poeta wstał od szklanki burgunda, od kwiatów i kałamarza i poszedł otworzyć. Przed sobą niósł lampę.

Na schodach ukazał się jakiś młody człowiek, wysoki a chudy, w kapeluszu filcowym z szerokim rondem na głowie. Chociaż to była noc zimowa i mróz dokuczliwy, młody człowiek nie miał na sobie okrywki. Ubranie jego stanowił krótki surducik, nędznie zapięty, z kołnierzem podniesionym do góry.

Wymienił nazwisko poety i objawił chęć pomówienia z nim. Poeta poprosił gościa, aby wszedł i sam wszedł za nim. Usiedli. Na stole stał burgund, kwiaty i kałamarz. Młody człowiek wpatrzył się w tym kierunku. Poeta poszukał jeszcze jednej szklanki i nalał tego ciężkiego wina swemu dziwnemu gościowi.

— Więc to pan tak mieszkasz? — rzekł nareszcie młody człowiek z westchnieniem zadowolenia, wpatrując się w poetę oczyma, wyrażającymi uwielbienie. — Przyszedłem, żeby pana zobaczyć przed śmiercią.

Poeta postawił gwałtownie swoją szklankę na stole, tak gwałtownie, że kryształ zadzwonił.

— Pan chory jesteś? — zapytał się.

— Bynajmniej — odrzekł gość. — Na ciele zdrowszy jestem zupełnie; tylko dusza moja nie może już wytrzymać. Idę po śmierć, ale wprzód chciałem widzieć pana. Dlatego zadzwoniłem do pana o tak późnej godzinie.

Gość łyknął haust ze swej szklanki, głos mu drżał trochę, twarz miał bardzo bladą. Wyglądał na

lat dwadzieścia, a w jego postawie i rysach było dalekie podobieństwo z postawą i twarzą poety. Było to niby podobieństwo familijne.

— Ze wszystkich istot — mówił młodzieniec — pan wywarłeś na mnie wpływ największy. Czytałem wszystkie dzieła pańskie i to niejednokrotnie, umiem na pamięć niektóre stronice, nawet całe utwory. Życie moje rzeczywiste przeżyłem w nich i z nimi.

— Ale któż pan jesteś? — zapytał poeta. W tej chwili jednak poczuł, jak dalsze pytanie jego było ordynaryjne. — I dlaczego nie przyszedłeś do mnie wcześniej?

— Nie zachodziła tego potrzeba. Ja znałem pana dosyć dobrze, może nawet zanadto dobrze. Teraz przyszedłem tylko dlatego, że chciałem, abyś pan był ostatnią istotą ludzką jaką widzę, a pokój ten ostatniem mieszkaniem, w którym goszczę. Chciałem, żeby ten dom był dla mnie domem pogrzebowym.

Łyknął znów haust i mówił dalej:

— Czem byłem w świecie? — pytałeś się pan. Cóż to pana może obchodzić? Może całą młodość spędziłem za kantorem niskiego i zakurzonego sklepiku, i co jakie pół godziny sprzedawałem zbutwiałą książkę biednemu studentowi, a wolnym czasem wpatrywałem się w uliczkę ciasną i brudną, na której deszcz pozostawił żółte kałuże szpiczastego bruku... Może tak było... może inaczej... Może pewnego razu zachciało mi się robić wiersze, pisać, stać się wielkim człowiekiem, jak pan? Przypominam sobie, kiedy pana poraz pierwszy ujrzałem. Było to w lecie, w pewnym małym miasteczku prowincjonalnym. Przejeżdżałeś pan tamtędy; cała okolica brzmiała pańskim nazwiskiem. W owej epoce pan albo skandalizowałeś albo zachwycałeś wszystkich.

My, młodzi, trzymaliśmy się w zwartych szeregach dokoła pańskich dzieł, niby dokoła sztandaru. Wi-działem pana wychodzącego z hotelu, stojącego na rynku. Przed bramą stał powóz i czekał na pana. Pan wyszedłeś z dwoma kobietami, które wsadziłeś do powozu, poczem wsiadłeś sam, piękny i silny, dobrze ubrany i w dobrym humorze po dobrym obiedzie, uśmiechnięty i rozmowny. Powóz pański przeszedł tuż koło mnie, pan spostrzegłeś moje uwielbienie i rzuciłeś mi przelotne uprzejme spojrzenie, jak się rzuca grosz żebrakowi... Ja dziś wiem, że nigdy nie będę poetą, ale wtedy nie wiedziałem. Sądziłem, że mogę być podobnym do pana, ponieważ mogłem czuć to, co pan wyrażałeś. Sądziłem, że resonans mojej wewnętrznej istoty, to ton mojej własnej harfy...

— Pan nie wiesz — ciągnął dalej mocniejszym już i pewniejszym głosem — pan nie wiesz, co czynisz, kiedy siedzisz sobie tutaj i piszesz, a dusza twoja rozpręga się pod wpływem wina i nocy! Nie wiesz, ile losów ludzkich przeinaczasz, tworzysz, zmieniasz jednym wierszem na białym papierze napisanym! Nie wiesz, ile szczęść rujnujesz, ile wyroków śmierci podpisujesz tutaj, w tej swojej milczącej samotni, przy spokojnej lampie, między wazonami kwiatów a butelką burgunda!... Pamiętaj pan, że my przeżywamy to, co wy, poeci, piszecie. My jesteśmy tem, czem wy nas być uczynicie. Młodzież jest odbiciem waszych utworów. Jesteśmy niewinni, gdy wy niewinni jesteście, — niemoralni, gdy wy tak zechcecie. Młodzi najczęściej wierzą lub negują według tego, w co wy wierzycie, lub czemu negujecie... Dziewczęta są skromne lub swawolne, według tego, czem są kobiety, które wy sławicie...

Gość zamilkł i wypróżnił swoją szklanekę, potem

wyciągnął rękę przez stół i nalał sobie nanowo wina poety...

Chwytał, co mu pod rękę podpadło i chodził, gdzie go nogi poniosły.

— Pan sam nauczyłeś mnie brać — odezwał się znów po chwili — nauczyłeś nas tego wszystkich. Dowiedzieliśmy się od pana, że człowiek dobry, to człowiek mocny, bez skrupułów, człowiek z rozpasanemi żądzami. Żeby być ludźmi, powinniśmy byli być landsknechtami bez czci i wiary. Pijaństwo winem i miłością, życie rozwiążte, które nazywaliście wielkiem życiem, oto coście nam zachwalali. Pan znasz legendę o pogromcy szczurów z Hamelu. Tak jak on, pan szedłeś przed nami, panując nad tłumem, i dźwiękami fletni i kuszącemi arjami zmusiłeś nas pan do porzucenia ojcowskiego domu i małego miasteczka, i szliśmy za porywającemi dźwiękami, i szliśmy za niemi aż na brzeg przepaści, nad którą pan się zatrzymałeś, ale w którą my powpadaliśmy. Nic nie pomoże ten śmiech szycerski i potrząsanie głową, wielki czarodzieju! Ach! gdybyś mógł wiedzieć, ile dusz przeklętych stworzyłeś, ile nędznych cieniów twego typu wielkich włóczęgów wałęsa się po kraju! I ja także dałem się opętać twojemu czarowi, i dziś wieczór czuję dopiero, że prysnął.... Wspomniałem panu, że niegdyś siedziałem za kantorem w księgarence. Był czas, kiedy siedziałem tam z duszą spokojną, czasami zaglądał na mnie promień słońca z ulicy, a gdy wieczór usiadłem na kamiennych schodkach, widziałem niebo błękitne ponad starymi dachami czerwonymi i jaskółki latające wysoko dokoła strzelistej, patyną okrytej wieży... Wtedyto twój flet czarodziejski przeszedł i przed mojami drzwiami. Wtedy wcisnęła się w moją duszę pocią-

gająca nostalgia za wolnym życiem stepów Cygany. Wtedy mój umysł rozewrzał, krew zapłonęła, i porzuciłem książki i sklepik, i nie wróciłem do nich już nigdy.

— Oho! pan robisz poezję — rzekł uprzejmie poeta.

Ale gość wychylił swoją szklanekę i wstał.

— Już późno — rzekł — nie chcę panu dłużej przeszkadzać. Pierwsza to moja wizyta, i ta wizyta już się nie powtórzy. Przyszedłem pana odwiedzić mniej więcej tak, jak dziecko nieprawie przychodzi odwiedzić ojca, którego nazwiska nosić nie może, ale którego pragnie jednak raz zobaczyć. Gdzieś, w pewnej książce, której pan nie znasz z pewnością i z którą ja również nie jestem bardzo otrząskany, są słowa następujące: „Mistrzu, myśmy porzucili wszystko, aby pójść za tobą, co ty nam dasz?“. Słowa te nie przestają dzisiaj brzmieć w mojej duszy. Tak, kochany mistrzu, myśmy naprawdę porzucili wszystko, żeby pójść za tobą, i nic nam nie pozostało. Nie mamy podszew u naszych trzewików, a błoto przesiąka i czerni nasze skarpetki dziurawe. I nie mamy pieniędzy, i nie mamy kredytu w kawiarni. Obrzydłem sam sobie, jestem słaby, wycieńczony głodem, pijaństwem i białymi nocami. Matka moja ciężko zarabia na życie. A ja w księgarni kradłem i sprzedawałem książki, żeby sobie kupić względy pewnej dziewczyny. I sprawiedliwość dostała mnie w swoje szpony, i choć płakałem i błagałem o litość nad biednym nieszczęśliwcem, wsadzili mnie do więzienia. I, uważasz pan, za kilka chwil zrobię użytek z tej małej broni, którą tu mam w kieszonce, i umrę w pełni piękności, jak nas poucza inny wielki poeta. Wtedy będę samo-

bójcą, potępionym przez ludzi i Boga... Mistrzu, myśmy to wszystko porzucili, żeby pójść za tobą, cóż ty nam dasz?

Młody nieznajomy zamilkł i zrobiła się w pokoju cisza złowroga. Żaden odgłos nie dochodził z zewnątrz, noc była czarna i milcząca; ci dwaj ludzie byli sami. Przed jedynymi drzwiami pokoju stał nieznajomy bladym, wątłym, ponurym, wskazując ręką kieszeń, w której miał broń ukrytą. Poeta siedział na krześle i nie ruszał się, ręce miał zimne, słyszał bicie swego serca.

Milczenie przerwał nieznajomy głosem uprzejmym, słumionym:

— No tak, ostatecznie nie miałem nic więcej do powiedzenia; myślałem, że to mogłoby pana zainteresować, że może mógłbyś pan zastanowić się nad tem wszystkim, gdy będziesz na wsi, u swoich bogatych wydawców na wakacjach.

Dziwny gość uklonił się i wyszedł. Poeta szedł za nim.

— Dziękuję bardzo — ozwał się gość — ale możesz mi pan nie świecić: jestem p o s i a d a c z e m paczki zapalek. Dziękuję i dobranoc.

Schodził ze schodów poomacku. Na pierwszym zakręcie zatrzymał się, zapalił zapalniczkę i schodził dalej. Poeta słyszał, jak jego złowrogi gość zatrzymał się jeszcze raz niżej i pocierał drugą zapalniczkę. Gdy poeta wracał do pokoju nogi się pod nim ugięły.

Wtedy z dołu rozległ się krzyk, który wśród ciszy nocnej ozwał się po całych schodach. To ów nieznajomy krzyczał z dołu do tego, który był poetą jego życia i poetą jego śmierci:

— Bywaj pan zdrow i do widzenia!

Żołnierz Tisseau we Francji, skazany na śmierć na gilotynie za spełnione rabunki i morderstwa, napisał w r. 1912 list z więzienia, z którego kilka uryków przytaczamy:

„Piszę tych niewiele słów w tym celu, aby wykazać, w jaki sposób ja, syn zacnej rodziny, upadłem tak nisko. Nieszczęście moje przypisuję wychowaniu, jakie odebrałem w młodości. W szkole uczono nas, że rodzice mają bardzo niewielkie prawa wobec swych dzieci i żadną miarą nie mogą nimi kierować wedle swego upodobania.

Od dzieciństwa charakter mój podatny był do złego, a skorom usłyszał w szkole, że wszyscy ludzie są sobie równi i nie powinno być bogatych, rozbudziły się we mnie złe skłonności. Wtedy popełniłem pierwszy grzech młodości i oddano mnie do domu poprawy.

Tam spędziłem długie lata wśród okropnych udręczeń, ponieważ przełożeni moi zamiast poprowadzić nas na dobre drogi — okazywali nam jedynie pogardę, a najmniejsze przewinienie karali głodem, ciemnicą lub kajdanami. A choć powinni byli zastąpić nam ojca, obdarzali nas wiecznie powtarzającą się groźbą: „Ustąpisz lub zginiesz marnie!”

Po kilku latach pobytu wyszedłem z domu poprawy z nadwątlonym zdrowiem, z sercem przepętlonym nienawiścią do ludzi, a nie mając w ręku żadnego rzemiosła, zdać się musiałem na wolę złych lub dobrych losów. I wtedy powtórnie upadłem. Zbrodnia jednak, która mnie zawiodła do więzienia, dała mi skosztować prawdziwego szczęścia.

Poznałem tutaj kapłana i od niego dowiedziałem się o prawdziwych wartościach życia. Niestety, rady te i nauki przyszły za późno, kara bowiem, jaką za

chwile poniosę, przeszkodzi mi zastosować je w przyszłości. Chcę, aby słowa moje służyły jako przestroga dla wszystkich młodych ludzi równie nieszczęśliwych jako i ja byłem w młodości. Oby idee wyniesione ze szkół nie napełniły ich serca rozpaczą! Jeśli mam umrzeć, umrę w tej nadziei, że dobry Bóg litościwszym będzie dla mnie od ludzi“.

Oto skutki straszne, wywołane przez nieuczciwych pisarzy, którzy zżarci sybarytyzmem i rozpustą, trują młodzież a i starszych nikczemnymi swymi pracami. Zapomnieli oni o tej wielkiej prawdzie: „że nie to jest rozum, aby gadać, a czasem i dobrze gadać i pisać, ale to jest rozum, by w tem, co się mówi i pisze, była dusza, by z tego brała wola moc, a potem by szły sprawy i czyny godne człowieka“. I to nie jest nowością w historii. Gdy kultura greckorzymska przekwitła, gdy wyższe klasy uległy zwyrodnieniu moralnemu, wtenczas przyszło zwątpienie w wierze, a potem bezwyznaniowość. Już Plato potępiał pisma podkopujące poszanowanie religii. A bardzo trafną czyni uwagę Cicero, że ci waleczni bezwyznaniowcy, co to słowem czy pismem zwalczają wiarę w bogów i nieśmiertelność duszy, najbardziej się boją bogów i śmierci. Gina samobójstwem czytelnicy i wielbiciele, a twórcy ateizmu piją burgund i kpią z głupich czytelników. A na czele ateuszów stoją żydzi.

Jeske-Choiński tak pisze: „W drugiej połowie dziewiętnastego wieku wróciły do rządów wszystkie przeczenia, nagromadzone od czasów reformacji, a wcielone w wielkiej rewolucyi francuskiej. Wytwarza się nowa forma społeczeństwa. Rządzi burżuazya, t. j. ta pewna grupa ludzi, która dorobiła się wielkiej fortuny, i wtargnęła do pierwszych sze-

regów społecznych, czyli kapitaliści i ich potomkowie. Do tej kasty spłynęły szumowiny wszystkich stanów, które przyklaskują pozytywizmowi i ewolucjonizmowi, i głoszą, że egoizm i walka o byt są głównymi sprężynami postępowania ludzkiego i uświęcają prawo siły, sprytu, podstępny i t. d. i uwalniają nikczemnika od odpowiedzialności przed Bogiem i sumieniem. Nowi ludzie poszukali sobie nowych bogów“.

„Ale istnieje w Europie inna jeszcze grupa ludzi, która powitała pozytywizm, ewolucjonizm i materializm z tą samą radością, jak burżuazya. To naród Judy. Religia nauczyła go nienawiści do innowierców, handel zgasił w nim wszelkie szlachetniejsze pojęcia o życiu. Plemię to tańczyło na puszczy około złotego cielca, teraz zaś stało się typem przekupnia i szachraja. Żyd wtargnął się do prasy europejskiej, opanował redakcye, siał zatrute ziarno negacyi pod hasłem „wolnomysłności“. On urządził chytrze wyprawę przeciw Chrześcijaństwu, walcząc z niem piórem i żywym słowem. On przekupywał ministrów, posłów i urzędników (Panama); on wcielał w handlu i przemyśle zasady moralności niezawisłej; on podkopywał systematycznie pojęcia o honorze i uczciwości. Krocie łez płynęło śladami jego pomysłów finansowych, — waliły się rody, fortuny, bładły świetne przez wieki nieskażone nazwiska. On tylko jeden tryumfował, uśmiechał się, zadowolony a szczęśliwy mściciel przecierpianych krzywd swego ludu. On przebrał się w frak i zasilił burżuazję.“

„Typowym przedstawicielem „cywilizowanego“ żyda nowych czasów jest znany estetyk duński Jerzy Brandes, który zmienił swe pierwotne nazwisko „Izydor Cohn“. To nieprzejeđnany wróg nietylko wy-

znań chrześcijańskich, ale wszelkich uczuć religijnych. W dziele jego: „Główne prądy literatury XIX. stulecia“ widać się: nienawiść do religii, zmysłowość i niechęć do obecnego porządku społecznego. Chciałby zburzyć całą przeszłość, zniszczyć do ostatniego kamienia podwaliny, na których się opiera cały świat chrześcijański. Ideałem jego — zdawkowy ordynarny materializm, a bogiem — rozum. Utalentowany a błyskotliwy stylistą, oślnął, przykuł do siebie i przekonał młodzież, nie tylko swego kraju rodzinnego. Zachwycono się nim w Niemczech, a podczas pobytu w Warszawie nie szczędzono mu oklasków i szeptów podziwu. Do jego rozgłosu przyczynili się oczywiście w znacznej części żydzi, znani z solidarności i umiejętnego popierania „swoich“. (Pozytywizm, str. 76).

Maks Nordau w dziele: „Entartung“ II. str. 181 taki wyraża o nim sąd: „Jerzy Brandes należy do najwstrętniejszych zjawisk naszego stulecia. Pasożyt cudzej sławy, uprawiał przez całe życie rzemiosło muzykanta-szarlatana, który gra równocześnie na dziesięciu hałaśliwych instrumentach, pomagając sobie głową, ustami, rękami, łokciami, kolanami i nogami. Jak ten komedyant, tańczył i Brandes przed poetami i autorami, a potem obchodził publiczność odurzoną łoskotem i zbierał zapłatę, i truł słuchaczy. Zmącił z szatańską iście gorliwością i wytrwałością wszystkie pojęcia i wyobrażenia młodzieży skandynawskiej, której zachwalał rzeczy przewrotne i nikczemne pod najpoważniejszymi i najczcigodniejszymi nazwami. Uczył, że być posłusznym zmysłom, to znaczy posiadać charakter; że kto się poddaje namiętności, ten jest indywidualistą, że silny człowiek gardzi karnością i obowiązkiem, i robi zawsze to, co się jego brzuchowi i innym organom podoba...

Rozwiązłość i próżniactwo zwie „wolnością“ i „prawem rozporządzenia sobą“. On zamienił salę szkolną na knajpę i dom publiczny; i ma dlatego powodzenie u młodzieży“. Ten wyrok jest tem dotkliwszy, że pochodzi nie od „zacofańca“, „wstecznika“, lecz od autora, który jest tak samo, jak Brandes, zwolennikiem wiedzy niezawisłej, bo i Nordau korzy się tylko przed rozumem“.

Dr. Paweł Schanz, profesor na wszechnicy tubingkiej taką daje charakterystykę żydów: „Im świętniej rozwijał się i postępował naprzód Kościół chrześcijański, tem więcej wrogie i podejrzliwe stanowisko zajmowali żydzi względem niego. Im więcej chrześcijanie kulturalni wyrzekają się prawdziwie chrześcijańskiego ducha, tem bardziej duch semicki osiąga przewagę w Europie, tak w materialnym jak i idealnym kierunku jej rozwoju kulturalnego. Wszelako antysemityzm nie wiele tu pomóc może. Najskuteczniejszym sposobem przeciwdziałania tym wpływom jest: podniesienie ducha chrześcijańskiego“ (Apologia t. IV. str. 218. Warszawa 1905).

Tak. Podniesienie ducha chrześcijańskiego jest potrzebne w całej Europie, a szczególnie w Polsce, gdzie tak spotęźnieli żydzi, że nam rękawicę w twarz rzucają. Bo ludzkość od deprawacyi umysłu i serca zbawi tylko powrót do tradycyi, wierna służba Kościołowi. Sama nawet Ewangelia nie starczy. Ewangelia z powodu szczytnej swej doniosłości może być bardzo łatwo źle zrozumiana. W Ewangelii znajdują się na pozór pewne sprzeczności, które Kościół tylko wyjaśnić może. Ewangelia jest pełną tajemnic i niezgłębionych głębokości. Czytelnik sam sobie pozostawiony stoi wobec Ewangelii bezradny; i albo wplecie swoje ulubione zasady w Ewangelie, albo

odrzuca wszystko, co mu się nie podoba, lub co mu jest w życiu niewygodnym. Tego dowodzą sekty i tłumacze Ewangelii, którzy tyle nadzwyczajności napisali.

A że się tu rozchodzi i o narody i o państwa, więc społeczeństwo powinno takich trucielei myśli ludzkiej z pośród siebie usunąć, a państwo przeciw nim ustawami wystąpić. Powie kto, że to fanatyzm. Ja zaś przytoczę, że Rousseau, a tego chyba nikt o cień fanatyzmu nie posądzi, tak się o ateuszach wyraża: „Ktokolwiekby się sprzeciwił religii, ten powinien być poskromiony, jako wróg porządku publicznego i jako szkodliwy członek społeczeństwa“. A sam Robespierre, a to słowo dużo mówi, gdy się przekonał o strasznych skutkach społecznych, jakie sprowadził ateizm, zniósł kult rozumu i ogłosił istnienie Najwyższej Istoty. A z nowszych polskich pisarzy Dr. Bronisław Łoziński w szkicu socjologicznym „Tłum“ (Kraków, 1895) tak pisze: „Społeczeństwo nie może być skazane na bezradność i niemoc. Prawo musi wystąpić z swymi środkami, gdyż w przeciwnym razie dla dzieci, dla szaleńców i t. p. byłaby otwarta droga do bezmyślnego działania a ze szkodą dla interesów własnych i dla dobra społecznego. Powaga prawa i władzy jako jego organu musi w takim razie wystąpić ze skuteczną interwencją“. Tak samo pisze Paweł Popiel w dziełku: „Choroba wieku“ (Kraków, 1880): „Jeżeli społeczeństwo tej nawale, na którą się składa pycha, głupstwo i wszystkie wyzdane, począwszy od duchowych aż do cielesnych, namiętności, obronić się pragnie, niechże wspólnie z Kościołem i władzą przeciwko niemu działa“.

A jeżeli rodziny, gminy i państwo nie wystąpią

przeciw „wolnej myśli“, która ludzi deprawuje, to niech patrzą, jak ich własny byt i materialna egzystencja zostaną podkopane. Bo gdzie nikną obyczaje i zmysł moralny, a górę bierze występki, tam też ginie równocześnie wolność, uczciwość, honor, cywilizacja. Kto chce tedy zażyć tu na ziemi pokoju i szczęścia, kto tego pokoju i normalnego rozwoju życzy rodzinom i narodowi, ten powinien stanąć pod sztandarem krzyża w Kościele.

Słusznie, jak zawsze, daje radę narodowi nasz wielki Sienkiewicz, w małym, ale bardzo mądrym artykule, pod tytułem: „Nasz dom“:

„Nacisk zewnętrzny, choćby najdłuższy i najbardziej nieubłagany, może przyczynić narodowi męczarni — zabić go nie może. Idea polska może zginąć tylko samobójstwem, albo z choroby wewnętrznej. Jeśli to się nie stanie, przetrwa złe czasy i w zwykłej kolei spraw ludzkich musi doczekać się lepszych.

Ale takie widoki potęgują jeszcze zadanie polskiego domu. Dawny miał do czynienia tylko z niebezpieczeństwem zewnętrznym, dzisiejszy musi walczyć i z wewnętrznym. Próżno bowiem wma wialibyśmy w siebie i w drugich, że obecnie jesteśmy tak zdrowi, jak byliśmy przed niedawnym jeszcze czasem i że ta idea, którą nasze domy przechowywały przez cały wiek w nieskalanej czystości, nie zbrukała się w rozterce i mętach lat ostatnich. Dziś, nie wśród obcych i nie wśród nieprzyjaciół, ale wśród nas samych są tacy, którzy patrzą na nią obojętnie, są tacy, którzy się jej wyrzekają, są tacy, którzy ją czernią, którzy na nią plwają. I ta zaraza wewnętrzna, szerzona przez obce żywioły, obcą szkołę, a w części

i przez obcą literaturę, jest największem niebezpieczeństwem, jakie nam kiedykolwiek groziło.

A czy mamy środki ratunku? Zapewne. — Nie powinniśmy jednak zapominać, że jeśli istnieje prasa pragnąca nas uzdrowić, to istnieje także taka, która nas rozkłada. Jeśli istnieje literatura potęgująca życie, to istnieje i taka, która pcha ku śmierci.

Obowiązkiem polskiego domu jest wytworzyć tęą, zwartą i czynną rodzinę, a obowiązkiem rodziny jest wszczepić w dziecko przekonanie, że patriotyzm ma być mu przewodnikiem, wskaźnikiem i celem wszelkich czynów na polu gospodarczem, naukowem, społecznem, artystycznym — słowem: słupem ognistym, o którym mówi Pismo święte, że: „W dzień jak słońce, w noc jak żar prowadzi“.

Lecz i na tem nie koniec. Rozkładowi wewnętrznemu niedość jest opierać się, choćby najenergiczniej. Należy niszczyć go w jego gniazdach pracą, przekonywaniem, miłością, cnotą publiczną i przykładną ofiarnością. Dom polski ma wychowywać dzieci tak, by miały spełna woli i sił, by szukać ognisk zarazy i przeprowadzać wszędy, gdzie one się zjawiają, ideową desinfekcję. Naród musi się bronić przed epidemią moralną, tak, jak społeczeństwo broni się przed fizyczną, a ponieważ zwykłe czynniki, powoływane do takiej walki w innych społeczeństwach, nie są w naszym ręku — więc obronę powinien objąć dom.

W domu zaś może tego dokazać przede wszystkim kobieta. Ojca rodziny odrywają od ogniska pozadomowe obowiązki; matka zawsze jest z dziećmi

Ona urabia materyał ich dusz. To, co ona w nie wszczepi, będzie zawsze tkwiło w ich organizmie. Ona je uodparnia, ona daje im męstwo i wolę do walki za ideały, — ona przygotowuje przyszłe zwycięstwo.

I ostatecznie od niej przeważnie zależy, by z czasem drobne rodzinne znicze zlały się w jedno spokojne, wielkie, błogosławione i powszechne ognisko“.

Oto prześliczna, jedynie prawdziwa, swojska, narodowa rada, jaką daje nam wielki Sienkiewicz. Za co mu hołd i podziękę składam.

Kościół tylko broni duchowych podstaw społeczeństwa.

August Comte, którego o przychyłność do Kościoła nikt nie posądzi, zalicza do pierwszorzędnych zasług katolickiego Kościoła to, że on, w przeciwieństwie do czasów pogańskich, stawiał i stawia zasadę moralności nad politykę, a tem samem, że Kościół bronił i broni duchowych podstaw społeczeństwa przed karkołomną egoistyczną polityką, która znów liczy się tylko z tem, ażeby wyzyskać daną chwilę na własną korzyść. I z tego punktu widzenia, w czasach zatargu między papieżem a królami, przechyliła się Comte na stronę papieży. A czyni to dlatego, bo wie, że Kościół zawsze bronił zasadniczo duchowych i moralnych dóbr społeczeństwa. I dlatego zowie Comte postępowanie tych rządów, które usiłują ująć w swe ręce duchową władzę nad obywatelami, „powrotem do barbarzyństwa“. Albowiem, jak on twierdzi, jest rzeczą niezbędną i konieczną, ażeby ponad światem i jego czynnościami, ponad krótkowidzeniem i namiętnościami rządów i ponad niesumienną polityką państw stała władza duchowa, a to w tym celu, by broniła wiekuistych spraw duszy ludzkiej przed zmiennymi interesami polityki i życia codziennego. Gdzie zaś świecka władza wyemancypowała się

z pod autorytetu Kościoła, tam ulega sumienie ludzkie państwu i jego sofistycznym przepisom i rozporządzeniom. A w takich okolicznościach element państwowy zapanuje nad duszą, nad sumieniem i nad przekonaniem obywatela. To są słowa Comte'a.

„Cerkownyj Wiestnik“, organ petersburskiej akademii duchownej, na pytanie „co najbardziej pociągało prawosławnych ku katolicyzmowi“, dał taką odpowiedź charakterystyczną: „Nam wydaje się, że tajemnica dość słusznie została ogdađniona w komunikacie rządowym o zesłaniu jezuitę Wiercińskiego, zaznaczającym, iż w ostatnich czasach w społeczeństwie moskiewskim katolicyzm zaczął się cieszyć sympatjami, jako zorganizowana religijna siła. Siła, — oto co pociąga ku Rzymowi niektórych z pośród wyznawców jego wschodniego rywala. W sferze religii siła posiada taki sam urok, jak w sferze estetyki, moralności, polityki. Kiedy człowiek wierzy w prawdę religijną, chce, ażeby i organizacja, która ją ucieleśnia, była potężną, niepodległą, twardą i w każdym wypadku nie uznającą innych interesów, prócz sprawy swego wyznania, nie kupczącą nigdy swymi ideałami za miskę soczewicy. Nastrój taki jest zupełnie naturalny, podobnie jak i poczucie dumy narodowej, pragnącej widzieć swą ojczyznę na wysokości siły i potęgi. Nawet w dziedzinie religii wskazane tu dążenie jest bardziej intensywne, ponieważ z zewnętrznym poniżeniem Kościoła może się jeszcze pogodzić wierzące serce, ale z poniżeniem wewnętrznym, z wewnętrzną bezsilnością pogodzić się przychodzi mu trudno, jeśli przejmuje się ono głęboko kościelnymi przeżyciami. Katolicki Rzym był pod tym względem zawsze taką siłą cza-

rownie działającą na ludzi. Już w pierwszych wiekach swego istnienia umiał on tak się postawić wśród otaczających narodów, że zwracano się doń jako do najwyższego autorytetu. Potrafił stać się stolicą całego zachodniego chrześcijańskiego świata i był w możności wyjawić swe pretensye do pierwszeństwa i na Wschodzie, chociaż przeciwników nigdy mu nie brakło. Rzymscy zwierzchnicy duchowni ujeli w swe ręce chylący się do upadku sztandar rzymskiej państwowości wówczas, gdy barbarzyńskie hordy skruszyły opór rzymskiego miecza. Oni to stworzyli żelazną organizację hierarchiczną, którą objęli cały nowy świat europejski. Z rąk katolickiego Kościoła otrzymała Europa zachodnia spadek kultury rzymskiego imperium i pod jego najbliższem kierownictwem poczęła rozwijać swą nową chrześcijańską cywilizację. I trudno określić, czy władza Rzymu, stolicy zwierzchnika duchownego, nie była silniejsza od władzy Rzymu imperatorów. Tyłu różnorodnymi silnymi węzłami przywiązał do siebie Rzym papieski nowe narody. On właśnie zdjął koronę cesarów z pochylonej głowy jej słabych posiadaczy i począł sam nakładać ją na głowy nowych wybrańców. I światu wydawała się ta przemiana tak naturalną, że potężni barbarzyńscy królowie na klęczkach przyjmowali oznaki godności cesarskiej z rąk człowieka, zbrojnego jedynie mieczem duchownym.

A jakaż to była, pełna głębokiego dramatu, porywająca walka! Rycerska odwaga i duma królów znalazła godnego siebie przeciwnika w śmiałości zwierzchników Kościoła. Na życie i śmierć walczył Rzym o swe prerogatywy i nigdy nie ustępował przed niczem, prócz siły fizycznej, z którą walczyć było niemożliwością. Wreszcie Rzym musiał uleż

przemocy fizycznej; przypatrzcie się jednak, jak zachowuje się Rzym zwyciężony.

Weźcie choćby tylko owo znane dobrowolne zamknięcie się papieżów w Watykanie, kiedy zjednoczone Włochy zabrały mu ostatnią pozycję polityczną. Przez lat dziesiątki nie godzą się papieże z tym faktem, jako z brutalną przemocą. Nie byli w stanie walczyć siłą fizyczną, lecz ten ich protest niemy jest niemniej moralnie przekonującym, niż tryumf wojennego zwycięzcy.

Albo ostatnie ciosy we Francyi, Hiszpanii, Portugalii. Rzym przeniósł je z godnością i nie upadł na duchu. Gromadzi znów swe rozbite siły i na nowo rozpoczyna atak na zabrane mu pozycje. Ani pochlebstwa, ani uniżoności przed silnym, ani upokorzenia nie okazuje rzymski katolicyzm. On nie rzeka się swych roszczeń i idzie swą drogą, chociażby życie coraz silniej raziło go ze stron wszystkich i jego prawa wydawały się beznadziejnymi. Tak, dumny Rzym — dumnym pozostał do końca. Kościół katolicki jest niewątpliwie siłą, nakazującą szacunek względem siebie. W nim czuć wiarę w siebie, świadomość swojej godności i władztwo, właściwe wszystkim organizacyom, które znają swą wartość, swe prawa i cele". Tak pisze „Cerkownyj Wiestnik“.

Nazwało to petersburskie pismo: Rzym „dumny“. Jeżeli pod wyrazem „dumny“ rozumiemy kłos pełen ziarna lub siłę, to Rzym jest dumny. Ale Rzym nie jest pysznym, bo pycha to chwast, to głupota. Rzym wierzy w swe boskie posłannictwo i dlatego nigdy się nie zrzekł świętych praw swoich, ale owszem bronił tychże ongi w katakombach, teraz w więzieniu watykańskim. Rzym wie, że jego re-

ligia jest jedynie prawdziwa, bo „mnogie a w oczy bijące dowody, jak spełnione prorocтва, niezliczone cuda, szybkie nawet wśród nieprzyjaciół i największych przeszkód rozkrzewienie się wiary, świadectwo krwi męczeńskiej i inne podobne przekonują, że jedynie prawdziwa jest religia, którą sam Jezus Chrystus ustanowił, a której straż i szerzenie Kościołowi swemu poruczył“ (Immortale Dei. Leona XIII.).

Rzym wie, że „zadaniem jest Kościoła, a nie zwierzchności świeckiej, jak się to dzieje w szymatyckich i protestanckich kościołach, prowadzić ludzi do nieba i sądzić i stanowić o rzeczach dotyczących się religii i nauczać narody i krzewić chrześcijaństwo. Rzym utwalił świętość nierozzerwalnego małżeństwa, i oparł prawa i powinności małżonków na sprawiedliwości i słuszności; on zapewnił niewieście należną cześć, on pogodził władzę ojcowską z godnością małżonki i dzieci“ (Leon XIII.).

Rzymowi zawdzięcza Europa chrześcijańska, że zdołała opanować barbarzyńskie ludy i przywieść je z dzikości i zabobonu do łagodnych obyczajów i do prawdy. Rzym obdarzył narody prawdziwą i wieloraką wolnością.

Św. Augustyn taki opiewa hymn Kościoła: „Ty działki po dziecięcemu, młodzieńców z siłą, starców ze spokojem, stosownie do wzrostu ciała i ducha każdego, ćwiczysz i nauczasz. Ty niewiasty mężom ich, nie dla dogodzenia namiętności, ale dla rozmnożenia dzieci i rodzinnego pożycia, w nieskażonej i wiernej uległości poddajesz. Ty mężom nad żonami, nie dla zgębienia wątlej płci, ale zakonem prawej miłości, przewagę nadajesz. Ty dzieci rodzicom w najwolniejszą oddajesz niewolę, rodziców nad dziećmi

z czułem ustanawiasz panowaniem. Ty obywateli z obywatelami, z narodami narody i cały ród ludzki pamięcią na wspólnych rodziców nie społecznem tylko, ale bratniem zespalasz uczuciem. Króle poczasz o pieczy nad ludami; ludom przypominasz uległość dla króli. Komu się cześć należy, komu miłość, komu pocieszenie, komu przestroga, komu uszanowanie, komu karność, komu strofowanie, komu kara, — Ty to nieustannie głosisz, okazując, że nie wszystko wszystkim należy, ale wszystkim miłość, a nikomu krzywda“ (De moribus Eccl. cath. XXX. 63).

Zaś w liście 138. do Marcellego tenże sam św. ojciec Kościoła Augustyn tak pisze: „Ci, co głoszą, że nauka Chrystusa zgubna jest dla państwa, niech stawiają takie rotę wojowników, jakie wytwarza nauka Chrystusowa; niech stawiają takich rządców prowincyj, takich małżonków, takie żony, takich rodziców, takich synów, takich panów, takie sługi, takich monarchów, takich sędziów, takich wreszcie dłużników skarbu i pobieraczy podatków, jacy wedle nauki chrześcijańskiej być powinni, a wówczas niech się ważą zwać tę naukę wrogą rzeczypospolitej, a raczej niechaj bez wahania wyznają, że gdy ona się w życie wprowadza, darzy wielką pomysłnością państwo“.

* *

Caligula, cesarz rzymski, zamianował swego konia „konsulem“, a to na mocy swej zasady: „omnia et in omnes sibi licere“, czyli, że mi wolno wszystko czynić ze wszystkimi ludami i we wszystkich sprawach według własnej zachcianki. Caligula to uosobienie zwyrodniałego cezaryzmu i zwyrodniałej władzy państwowej. Caligula wcielił w siebie dwa sza-

lone pojęcia: „divus Caesar, i diva plebs“, t. j. cesarz jest bogiem, i — motłoch jest bogiem.

Jeżeli wolna myśl zapanuje w umysłach ludzkich, to rządy państw muszą być tyrańskie. Inaczej być nie może, bo w takim wypadku jedyną sprawą konkretną, jaką rozum ludzki w takich warunkach wymyśli, jest: „nieograniczona władza“. I wtenczas niewidome potęgi ducha ulegną widomej władzy cesarza i zabraknie już kultury i wolności. Bo wszelki cezaryzm, czy on się znajduje w rękach jednostki, czy senatu, czy stronnictwa, czy pospólstwa, — to tyrania, to prześladowanie wszelakiego porządku duchowego.

Źródłem wszelakiej ludzkiej wolności jest — Kościół. Kościół był i jest matką wszystkich narodowości i ich wolności. Wszelaka bowiem wolność, i ta w rodzinie, w narodzie i w państwie, i ta w dziedzinie sumienia, pochodzi tylko i wyłącznie tylko od Kościoła, który zawsze i wszędzie ograniczał i ścieśniał tyranię świeckich władz.

Ludzie żyjący dzisiaj nie lękają się cezaryzmu, a to dlatego, bo obecnie demokracja zwalcza cezaryzm i wszelką przewagę państwową. Ale gdy radykalna demokracja, demagogizm, dojdzie do rządów, natenczas ludzkość przekona się, że i demagodzy zrobią z konia konsula lub ministra, to jest, że i radykalizm pogwałci i zdepcze wszelaką osobistą wolność i stanie się „cezaryzmem“.

I dlatego ci, którzy dzisiaj w imię hasel demokratycznych walczą, jeżeli nie chcą popaść w szatł cezaryzmu, muszą się do Chrystusa zbliżyć i Jego nauką się kierować, a czcić ustanowiony przez Niego Kościół i jemu podlegać.

Program społeczny Chrystusa Pana.

Luźziska szukają i układają programy społeczne, ekonomiczne, polityczne, państwowe, narodowe, a mimo to po dzień dzisiejszy nie mogą znaleźć takiego programu, któryby wszystkim ludziom w państwie i wszystkim narodom w świecie przyniósł spokój, swobodę, szczęście, światłość i prawdę. Czyż więc ludzkość nie znajdzie już takiego wzniosłego programu ?

Program taki istnieje. Gdzie ?

Może się mylę, ale sądzę, że w całej historii ludzkości nie znajdziesz tak podniosłej, tak wspaniałej chwili, jak wówczas, gdy Chrystus Pan przyszedłszy „do Nazaret, gdzie był wychowan, wszedł do boźnicy i wstał czytać. I podano mu księgi Izajasza proroka. A otworzywszy księgi, znalazł miejsce, gdzie było napisano: Duch Pański nademną; dlatego mię pomazał, abym opowiadał Ewangelię ubogim i posłał mię, abym uzdrowił skruszone na sercu; abym opowiadał więźniom wypuszczenie i ślepych przejrzenie; żebym wypuścił na wolność znęzione i opowiadał rok Pański przyjemny i dzień odpłaty. A zamknąwszy księgi, oddał słuźze i siadł. A oczy wszystkich były weń wlepione. I począł do nich mówić: Iż się dziś spełniło to pismo w uszach waszych“ (Łuk. 4, 16—21).

Jezus Chrystus odnosi proroctwo Izajasza do siebie i wysnuwa z tego proroctwa „program społeczny w całej pełni“.

Czem jest świat w swej nagiej rzeczywistości? Co czynią ludzie w świecie? Grzeszą, płaczą, klną i cierpią, i wznoszą straszny krzyk do nieba z zapytaniem, czy ich Bóg słyszy?

Czem jest jeszcze świat? Zaglądnijcie w wielkie miasta, w ich zaułki i norę, i do szpitali i do więzień, i w groby i w karczmy, i do domów rozpusty i szulerni, — i co tam widzicie? I wglądnijcie w pałace i domy mieszczańskie, i pod strzechę rolnika i do piwnic robotniczych, — i co tam zoczyście? Zimno, głód, nędzę, opuszczenie, choroby, znęcanie się nad maluczkimi, jęk, piekło. Ot wszędzie niemal nędza, niewiadomość, występki, wszędzie niezgoda. Ludzkość shańbiona, a ludzie tępią się nawzajem. Trzeba im żyć ze sobą w gromadzie; a przecież tak im ze sobą źle, taki zgrzyt, jęk, niechęć tworzą wokoło siebie. Ludzie są podli; ale bywają także narody tak samo podłe. A do takich należy zaliczyć te, których sumienia są za obszerne, które przez swych myślicieli i historyków wyszydzają prawa moralne, opierając się na zasadzie: „Kto chce celu, musi chcieć i środków, i z żadnych, choćby najniegodziwszych, rezygnować nie może“, i zbrodnie polityczne zowią politycznym arcyzdziełem. U takich narodów cynizmowi w polityce idzie w pomoc cynizm dziejopisa.

A rozważ losy narodów podbitych, ujarzmionych, ile cierpią, deptane, nękanie, praw przyrodzonych pozbawione, zdzierstwami uciskane, własną krwią pobryzgane, jak dzikie zwierzęta ścigane, którym się ciągle w uszy wrzeszczy: *vacti victis!* „ausrotten“, wyniszczyc je. Albo jak manifest w sprawie

chełmskiej poselskiego koła polskiego w Wiedniu, z dnia 15. grudnia 1911 się wyraża: „Śmierć całych pokoleń w więzieniach i na wygnaniu, ruina majątków, odarcie z wszystkiego, co stanowi naród i obywateli, niewola sumienia, prześladowanie wiary przodków, łamanie aktu kongresu wiedeńskiego z r. 1825, pozbawienie ludności polskiej możności nabywania swej ziemi, zmiana praw sukcesyjnych, a więc naruszenie praw bezpieczeństwa, przewrót we wszystkich stosunkach społecznych i gospodarczych, zamach na zdobycze człowieka osiągnięte w ostatnim wieku, na wolność sumienia, religię, język“. A niesłychanym potwierdzeniem tych zbrodni, jakich się dopuszcza Rosya nad Polakami, jest sąsądzenie ks. Biskupa Ruskiewicza, sufragana warszawskiego, dnia 9. lutego 1912 r. na 16 miesięcy twierdzy i na taką samą karę ks. Ciepłińskiego, za to, że unieważnił nieważne małżeństwo. Jakby na urągawisko erze konstytucyjnej i uroczystym zapewnieniom tolerancji, czynownictwo i władze rosyjskie prowadzą nowy okres martyrologii katolicyzmu w Królestwie Polskiem.

Łudzkość brudna, zła, występna, pełna zbrodni, obłudy, zazdrości, samolubstwa, fałszu, głupoty i barbarzyństwa, jednym słowem nieszczęśliwa, a z jej piersi wyrывa się jeden przeciągły straszny jęk:

„Powiedz, dlaczego, o najwyższy Panie,
Na świecie, który wszechmoc twoja stwarza,
Taki jest ogrom zła, że patrząc na nie
Rozum się wzdryga i cnota przeraża?

Czemu ohyda na świecie się szerzy
I twej światłości blaski święte brudzi,
Tak, że aż stygnąć musi szept pacierzy
Na zbladłych wargach nieszczęśliwych ludzi?

Czemu żywioły sprzeczne się szamocą ?
 Skąd zamęt w twoim niebiańskim wszechstworze?
 Poco jest zbrodnia i zaraza poco?
 I poco śmierć jest, sprawiedliwy Boże?"

(Musset: Espoir en Dieu).

Czytając to, podołaj powstrzymać łzę, która się gwałtownie wydziera z pod powieki. I rzuć równocześnie oko zażwawione na program Chrystusa. Co on daje światu? Prawdę i dobro. Czyli P. Jezus chce doprowadzić ludzi do poznania prawdy, a przez poznanie prawdy do pragnienia dobra. Daje tedy:

„Ubogim — ewangelią“, to jest dobrą nowinę.

„Skruszonym i złamanym na sercu“ — uzdrowienie.

„Więźniom“ — wypuszczenie; „Kryminalistom“ — wolność.

„Ślepym“ — przejrzenie, światło i prawdę.

„Znędzonym robotnikom“ — swobodę wytchnienia, należyłą płacę za pracę.

„Wszystkim ludziom“, wszystkim narodom — rok Pański, wyzwolenie, wszelakie prawa i swobody i — dzień odpłaty!

Cuda! Dla tego prochu ziemskiego, jakim jest człowiek, daje ozdobę; dla zasmuconych radość; dla więźniów wolność. I wszystkie zbolące serca podnoszą się do Chrystusa, który im kajdany zrywa, serce tuli, światłość i prawdę daje, w tym wielkim społecznym, politycznym, ekonomicznym, narodowym i państwowym programie. I któżby się na taki program nie pisał?

Ty mówisz: ja przecież zawsze wyrażam się z czcią o chrześcijaństwie. Ale tu nie starczą słowa uznania. Nie. Trzeba stanąć w szeregu i rozwijać program Chrystusów i spełniać owo posłannictwo

słowem i życiem. Trzeba nieść między ludzi wolność, pociechę, piękno, radość i prawdę. Gdy program Chrystusa Pana wykona się, to wszystkie tęsknoty będą utulone, wszystkie pragnienia zacne spełnione.

Program Chrystusów jest nie tylko treścią najbogatszy, ale mieści w sobie i najlepsze słowa.

Pierwsze słowo: „Ewangelią opowiadać ubogim“. Ostatnie słowo: „Rok pański przyjemny, radość wieczną“!

Goethego program polegał na tem, by człowiek sam sobie starczył; Anglików zaś, by sam sobie pomagał. Ale taki program przynosi rozczarowanie, bo człowiek sam sobie nie wystarczy. Carlylesa program głosił rozpacz, a Byrona ból świata. Moderniści wracają do tej samej nędzy, jaka była przed przyjściem Chrystusa na świat.

A program Chrystusów przynosi radość, szczęście, wiarę w moralny porządek świata, w postęp ludzkości; zapewnienie, że wszystko, co dobre a zacne, zwycięży zło i wiecznie trwać będzie, i że zło samo siebie pożre i w sobie zgubę znajdzie. Ten program leczy zbolełe serca i chorą myśl, i zmienia wszystko w nadzieję zwycięstwa. Ale ten program jest nie tylko dla świata, ale i dla ludzi. On zaspokaja najmniejsze nawet potrzeby życiowe i zajmuje się codzienną troską człowieka.

Ilu to na ziemi żyje, co upadli na duchu, których zwątpienie ogarnia, bo w nich wiara osłabła. I łamią się i żyją, jak rozbitki; kto ich uzdrowi? kto wleje balsam pociechy w te wątpiące dusze? kto uleczy tych naprawdę chorych, a ciężko chorych? Na świecie niema dla nich lekarstwa. Żaden parlament, żadne prawo, żaden filantrop, nikt ich nie uleczy. Żaden lekarz nie przepisze cudownego bal-

samu na takie rany. Idź do Chrystusa! On tu jedynym lekarzem. A ilu to bogaczy i potentatów myśli i państw cierpi na tę chorobę.

A co poczniesz, gdy wymarli ci, którzy byli twoją pociechą, twojem szczęściem? Co poczniesz, gdy się zagnieżdżyła w twym domu choroba, lub gdy się zbliży śmierć, by zabrać to, co ci najdroższe? Gdzie znajdziesz utulenie? Tylko w Chrystusie, bo On jeden „uzdrowia skruszonych na sercu“. Tak. Pierwsze prawo dla ludzi brzmi: „bogiem wrócić do Boga“; drugie prawo na ziemi: „cierpieć, i przez cierpienie się oczyszczać i do Boga podnosić“. I jedynym tego życia nieszczęściem jest walka człowieka z tem prawem, bunt przeciw niemu, żądza, by tu nie cierpieć, szukanie szczęścia, strach przed bólem, przeklinanie i nienawiść tak zwanego „złego losu“. Ludzie są jak dzieci w szkole, uparci, tępi, niechętni.

* *
 *

Chryścjanizm, to sprawa życiowa, sprawa praktyczna. Od dnia, w którym Chrystus Pan począł słowa Izajaszowe w czyn wcielać i przekazał ich urzeczywistnienie Swemu Kościołowi, program ten ciągle się urzeczywistnia. Rozważny krok w krok moralny postęp ludzkości w historii, społeczny rozwój tejże, szerzenie się sprawiedliwości między ludźmi, poprawę stosunków życiowych, uwolnienie niewolników, podniesienie niewiasty, czystość religii; czyżto wszystko nie rozwój programu Chrystusowego, czyżto nie przyjęcie królestwa Jego na ziemię?

Chrystus dał program. Sam go nie chciał wykonać. Pozostawił to Kościołowi Swemu i ludziom pod jego kierownictwem. I to jest koroną ludzkości, że ona staje się narzędziem w rękach Bożych. Ale

mimo to Chrystus nie opuścił ludzi, ni świata: On mieszka w ludziach. Chrystus wzrusza serca ludzkie, wlewa Ducha Swego w ludzki żywot i za pośrednictwem wielkich i szlachetnych serc spełnia ciągle swe posłannictwo. I dlatego to ludzie niektórzy nie widzą królestwa bożego na ziemi, bo Chrystus do spełnienia tego używa ludzi; bo to się codziennie dzieje i dlatego w oczy nie wpada. A przecież nasz Kościół to Syn Boży, który się ciągle zjawia wśród ludzi w ludzkiej postaci, i wciąż się odnawia i odmładza; Kościół to dalszy ciąg sakramentu ucłowieczenia. A Thalhofer mówi: „Kościół to wciąż żyjący Chrystus“. I w szerzeniu królestwa Swego nie posługuje się mieczem, ni pieniędzmi; nie szuka literackich prac. Garstkę Apostołów wysłał i im polecił przekształcić świat przez odnowienie dusz. I szerzy się Jego ideał bez broni, bez trąb; i dlatego to ludzie tego nie widzą. Królestwo Jego podobne jest kwasowi, który wzięwszy niewiasta zakryła we trzy miary mąki, aż wszystka skwaśniała (Mat. 13, 33).

Tak zwani postępowcy mówią, że religia Chrystusowa dobra, ale dla ciemnego ludu. Jeżeli to ma znaczyć, że ona zniża się i do najmniejszych potrzeb ludzkich, by je zaspokoić, to prawda. Ale jeżeli zarzut ten chce twierdzić, że religia Chrystusowa nie dorosła do zaspokajania „szlachetniejszych“ potrzeb człowieka, to jest on bezpodstawnym.

Chrześcijaństwo uszlachetnia, podnosi, wzmacnia nie tylko to, co jest miłe, szlachetne, piękne, ale zwalcza ten pogląd życia, który piękno rzeczywiste za mało ceni. Chrześcijaństwo szuka piękna i estetyki. Dzisiejsi ludzie pragną, by i rolnik i robotnik miał pod swą strzechą ładne obrazy, a i muzykę i rzeźbę, i budują dla nich parki, teatru, widowiska. Wszystko

to dobre. Ale czy tego Kościół nie czynił w swych świątyniach, w których nagromadzono tyle pięknych dzieł z malarstwa, rzeźby i budownictwa; tyle śpiewu i muzyki? Jakżeżby nędznym był nasz wiek dwudziesty, gdyby nie było chrześcijaństwa.

Ale dzisiejsi ludzie nie wiedzą o tem, że piękno nie kończy się na onych zwyż wymienionych przykładach; ale że piękno ma swe wyższe posłannictwo. Jakie? Ludzką myśl podnosić do góry; wyżej ponad proch i popiół, ponad szarą życie, ponad codzienne błoto, hen tam do góry, do Boga. Tak. Piękno ma uszlachetniać rozum i serce, a nie deprawować. Fizyczne piękno ma uszlachetniać piękno moralne. Ale dzisiejsze piękno i w książkach i w powieściach, i w teatrze, i w muzeach nowych, i w malarstwie, i w rzeźbie, jednym słowem wszędzie, szerzy zgniliznę, truje dusze, deprawuje, zbydłca człowieka.

Henryk Drumond pisze, że ubogi chłopiec taką mu o sobie opowiadał historiją. Było to w tygodniu Bożego narodzenia, gdy otrzymał tygodniową płacę i szedł do knajpy, by się upić i zabawić z kolegami. Po drodze zobaczyłem aniołka. Był to biały obrazek aniołka ze złotymi skrzydełkami, umieszczony na drzewku wigilijnem. I ten aniołek, stojący w silnym oświetleniu na wystawie, tak wpłynął na mą wyobraźnię, że zacząłem myśleć o niebie; o tej chwili, gdy jeszcze pod strzechą rodziców łamałem się opłatkiem, gdy jeszcze byłem zacny i święty. I cofnąłem się od karczmy i kupiłem aniołka, i uczułem, wróciwszy do domu, że mi w piersi urosło nowe lepsze serce. I od tej chwili przestałem pić. Oto wpływ piękna religijnego, które uzdrawia chore, a leczy zepsute dusze. Oto misya Chrystusowa, tak dziwna, że tylko szlachetne serce je wyrozumie, misya, która

człowieka odwoździ od grzechu, a już tem samem uszlachetnia i szczęście daje.

* * *

„Abym opowiadał Ewangelią ubogim“. Głoszenie ewangelii, czyli dobrej nowiny ubogim, to największy cud. Bo uzdrowić chorego, głuchego, ślepego, trędowatego, a nawet wskrzesić umarłego, to to wszystko odnosi się do ciała. Ale „opowiadać ewangelią“, t. j. dawać zdrowie duszy, leczyć jej śmiertelne kalectwa, oczyszczać ją z grzechów, uświętobliwiać, uszlachetniać, do Boga podnosić i Bogu oddawać, to dopiero cud. A jeżeli rozważysz, że Ewangelią opowiadali i opowiadają „ubogim“, wzgardzonym, czyżto nie jest cud miłosierdzia Bożego. A opowiadali Ewangelią, by podźwignąć, wyswobodzić, zbawić niewolników, później zaś poddanych, a teraz robotników i stawali w obronie „praw ludu“, to cud. I dlatego to sam Chrystus Pan to opowiadanie Ewangelii ubogim zalicza między cuda (Mat. 11, 5).

Żaden z filozofów pogańskich nie wpadł na pomysł, by niewolnikom choć cząsteczkę praw przyznać; owszem uzasadniali potrzebę niewoli. A przecież mieli szkoły, akademie i uczyli po ogrodach i portykach. Czemuż chociaż jeden z nich nie otworzył choćby jednej szkółki dla ludu; czemuż nie przemawiał do ubogich, do prostaczków? Bo w ich duszach była pogarda dla ubogich. „Odi profanum vulgus“. Dopiero Chrystus Jezus zmienił pogańskie prawa i przy pomocy Kościoła Swego zniósł niewolę i uczył niewolników.

Ale gorzej jeszcze było. Nietylko nie dawano pomocy ni ośłody ubogim, ale prawo państwowe i religia państwowa znaczyły czoła tych nieszczę-

śliwych piętnem zniewagi, i zwali ubogich „obrzydliwością samych bogów“, „odium deorum“, „turpis egestas“. A tego, który się litował nad ubogim, nazywano „przeciwnikiem bogów“, bo się sprzeciwia woli bogów. Tak było długo po przyjsciu Chrystusa Pana i na Litwie i u Słowian pomorskich i u Prusaków, jak wyjaśnia Karol Szajnocha w księdze „O Jądwidze i Jagielle“.

A o katowaniu niewolników my dzisiaj pojęcia nawet sobie wyrobić nie umiemy. Były bicze żelazne, blachy rozpalone, krzyże, dęby na nogi, ręce i szyję, rzemienie, łańcuchy, lochy podziemne, kuny żelazne.

„Nervos, catenas, carceres, numillas, pedicas boias,
Iddoctoresque acerrimos, gnarosque nostri tergi“.

Plautus Asin. III. 2. 4.

Zapytano raz na radzie mędrców mongolskich, co jest największą rozkoszą w świecie? Sam chan taką dał odpowiedź: „Zwyciężyć przeciwnika, w oczach jego znieważyć żonę, pomordować dzieci, a potem samego zamęczyć“. Rada przyznała słuszność monarsze, bo takie było wówczas pojęcie w narodzie.

Niewolnik był uważany za juczne zwierzę dla zaspokojenia potrzeb pana; i kupowano go na jarmarkach. Taki Lysias, Izokrates, Demostenes i sam nawet Platon pochwalali tortury, któremi znęcano się nad niewolnikami, i twierdzili, że oznaką dobrze wychowanego człowieka jest to, gdy gardzi niewolnikiem. A ta straszna kara „ukrzyżowania“, którą nawet rzymskie prawo polecało, głosi, jak straszny był los niewolnika. A dodajmy walki niewolników z sobą lub ze zwierzętami w cyrkach, i przypomnijmy sobie, że ów łagodny Trajan kazał spędzić na arenę

dziesięć tysięcy niewolników i przez 123 dni kazał im się mordować gwoli uciechy obywateli rzymskich. I wszystko to znikło, i nie powtórzy się; a to od onej chwili, gdy Chrystus Pan wyrzekł: „Patrzcież, abyście nie wzgardzili jednego z tych małych“ (Mat. 18, 10). „Pókiście nie uczynili jednemu z tych najmniejszych, aniście mnie uczynili“ (Mat. 15, 45).

Nie lepszym był los dzieci. Platon i Arystoteles polecali usuwanie dzieci słabych; a Arystoteles nakazywał poronienie płodu, by przeszkodzić przeludnieniu. W Atenach ubogie dziewczęta, albo które się nie podobały ojcu, były, jako niemowlęta, wyrzucane w góry na wymarcie. W państwie rzymskiem topiono dzieci, na mróz wyrzucano, głodzono, psom na pożarcie dawano, albo oddawano innym, którzy z chłopców wychowywali gladiatorów, a z dziewcząt przyszłe prostytutki. Pozostałe dzieci wychowywał nauczyciel niewolnik, który głodem przymierał, jak stwierdza Ovidius. A za to mścił się w ten sposób, że zatruchiwał ducha dzieci wolnych rodziców.

Tak było na całym Wschodzie. A i obecnie w Chinach prowadzą sami rodzice swe córki do domów nierządu, albo je oślepiają, by w ten sposób zarabiały na chleb; albo chłopców kastrują, by mogli zostać stróżami niewiast haremowych. W Guinei plemię Jaqqas pożera swe własne dzieci, a u Hottentotów na Madagaskarze, w Nowej Granadzie i w Grönlandyi po śmierci matki zakopują z nią żywe dziecię. W Kamczatce ubodzy rodzice mordują dzieci. Człowiek upadł niżej zwierzęcia.

I dopiero tam, gdzie doszło słowo Chrystusa: „Dopuszczcie dziatkom iść do mnie“, zmieniło się serce rodziców i los dzieci się polepszył. Miłość macierzyńska na świecie powstała dopiero z poznaniem

nauki Chrystusowej. Takiej rzewnej, tkliwej, pełnej poświęcenia miłości macierzyńskiej, jaką widzimy u Chrześcijan wierzących, nigdzie nie znajdziesz. I geniusze, jak Rafael, Michał Anioł, Corregio, Salvatore Rose, stworzyli najpiękniejsze dzieła, malując Matkę Bożą z dzieciątkiem. Średnie wieki tem się stały wielkimi, że wychowanie dzieci spoczywało w rękach wierzących matek. Chłopak do siódmego roku życia chował się w domu rycerskim w pokoju matki, gdzie się uczył zacnych obyczajów, ducha uczciwego i wszelkich cnót. A co matka zasiała, to zostało już na całe życie. Niestety, tego obecny świat już nie zna. A matki powinny o tem pamiętać, że błogosławieństwo lub przekleństwo dziecka spoczywa już w kolebce, że pokarm matki jest onem źródłem, z którego w dziecięciu przez całe życie jego płynie jasny lub ciemny żywot; że takim najczęściej będzie dziecie, jakim go matka urobi do dwunastego roku jego życia. Bo oko dziecka widzi, a ucho słyszy wszystkie występki, grzeszki i zbrodnie matki i ojca pierwej, zanim je rozumie. Słowa i czyny rodziców wpijają się w pamięć dziecięcia i budzą w niem demoniczną naturę i usuwają Boga z serca jego, a i jego napomnienie: „czcij ojca i matkę twą“.

A wszystko zło zniósł i zmiótł z tego świata Jezus Chrystus, który „wyniszczył samego siebie, przyjąwszy postać sługi“ (Philipp. 2, 7). Tak. Sam został niewolnikiem, sam siebie wyniszczył, by dać ludziom przykład, jak trzeba żyć i pracować, by szerzyć królestwo boże na ziemi.

A szerzy się królestwo boże na ziemi przez szerzenie sprawiedliwości, pokoju i radości w świecie. Bo Pan Jezus polecił nie tylko dusze ratować, ale polecił i życie ratować, to jest inaczej żyć, ani-

żeli się aż do Jego czasów żyło. I dlatego uważa się i dzisiaj jeszcze Jezus: „A do mnie przyjść nie chcecie, abyście żywot mieli“ (Jan 5, 40), bo nie chcecie wiedzieć, że „kto ze mną idzie, będzie miał światłość żywota“ (Jan 8, 12); „bom ci po to przyszedł na świat, by ludzie żywot mieli i obficiej mieli“ (Jan 10, 10).

Tak. Pan Jezus przyszedł, by świat odnowić i ludzi do zupełnej doskonałości doprowadzić. Nie mieli ludzie lekarstwa na jad grzechu; nie mieli światła na rozpędzenie ciemności, w jakie pcha ludzi zwątpienie; nie mieli spokoju w trosce o chleb. To wszystko przyniósł Jezus, zaprowadzając królestwo swoje na ziemi. A to wielkie Chrystusowe dzieło przeprowadza Kościół, który jest zbawieniem, światłością i chwałą narodów wszystkich (Łuk. 2, 30 32). A jest chwałą narodów, bo odmienił oblicze świata, zaszczepiając równość i braterstwo; bo stargał więzy niewoli i upodlenia. I wyrugował rozpustę, lecząc ją zbytkiem umartwienia i zaparcia. I leczy zbytek pychy — zbytkiem chrześcijańskiej pokory; zbytek próżności i łakomstwa — zbytkiem ubóstwa; zbytek używania — zbytkiem wstrzeźliwości; zbytek sobkostwa — zbytkiem poświęcania się. A to w myśl polecenia Pana Jezusowego: „Jeżeli kto idzie do mnie, a nie ma w nienawiści duszy swojej, a kto nie nosi krzyża swego, nie może być uczniem moim. A kto by utracił duszę swą dla mnie, najdzie ją“ (Łuk. 14, 26; Mat. 10, 39). Co to znaczy? Chrystus domaga się przemiany duszy! Asceza chrześcijańska wyleczyła świat pogański z jego zupełnego zwątpienia i ze wstrętu do życia.

I szli wyznawcy jego „nie mając ani złota, ani srebra, ani pieniędzy w trzosach, ani torby w dro-

ǒze, ani ǒwu sukien, ani butów, ani laski, i szli jako owce między wilki“ (Mat. 10) i przemienili świat, i przemienili ludzkie ǒsze.

I szli na puszcę, a inni na tortury; inni zaś poświęcali się ubogim, opiece wdów i sierót, rozdawaniu jałmużny, urzǒdzaniu schronisk dla nęǒzy i kalectwa; i odmienili oblicze świata.

A ci, co to czynili, nie pochodzili z ludu, ale z roǒu królów, ksiǒżǒt, przemożnych panów, i szli ǒbrowolnie, pełni poświęcenia, i obsługiwali chorych po szpitalach i obwiǒzywali rany i leczyli nie-moce. I powstawały szpitale, zakłady ǒbroczynne, ochronki, domy dla głucho-niemych, ślepych, obłąkanych, i wykupywali niewolników i siebie w niewolę oddawali, by innym wolność uzyskać. I Kościół urobił takich świętych u nas, jak Kunegunda, żona Bolesława, i siostra jej Jolanta; jak Jadwiga św., żona Henryka Broǒatego i ǒruga Jadwiga, żona Jagiełły, jak Kazimierz królewicz, Władysław z Gielniowa, św. Jan Kanty, założyciel burs akademickich, św. Szymon z Lipnicy, Jan Kapistran i tylu innych. Skąd ta zachęta? Ze słów Pana Jezusowych: „Miłosierǒzia chcę, nie ofiary“ (Mat. 9, 12).

I ǒziwili się poganie, i ǒziwiǒ się ǒdzisiaj jeszcze ludzie światowi, skąd tyle siły, tyle hartu, tyle mocy u Chrześcijan, którzy nie tylko powściągajǒ się od złego, ale i spełniają heroiczne cnoty: poświęcenia się dla ǒrugich; i to z całem zaparciem siebie, — za nic majǒc znaczenie, pieniǒdz, a i życie nawet samo. Skąd tyle mocy ǒo ǒarowania uraz, ǒo przebaczenia krzywd, miłowania nieprzyjaciół, a nawet modlenia się — za oprawców? Skąd tyle wytrwałości w prześladowaniu, we wiǒzieniu, na stosach, torturach, bez wzglęǒu na wiek, na płeć, na stan,

politykę międzynarodową, i — przyjdzie Królestwo Boże na ziemię w pełni i obejmie całą ludzkość w posiadanie“ (X. Morawski).

A program ów jest tylko w Kościele katolickim. Bo w naszym Kościele wszyscy tworzą jedną wielką rodzinę bożą, której członkowie złączeni są przez miłość z Bogiem i z sobą. A co to za pociecha wiedzieć, że miliony ludzi, rozrzuconych po całych przestworzach ziemi, łączą się duchowo w tej samej najświętszej ofierze mszy św., tymi samymi sakramentami, tą samą czcią Bogu oddawaną, tem samem współczuciem dla cierpiących, a wspólnym smutkiem nad upadłymi. U katolików wspólna radość, wspólne szczęście, wspólny tryumf, wspólna modlitwa, wspólne zasługi. I to budzi u jednych podziw, u innych nienawiść.

Nie zdziwi to nikogo, że Goethe, geniusz a mało wierzący, wyrażał się z wielką czcią i o Kościele i o istocie sakramentów katolickich. Warto przeczytać jego wrażenia, jakie odniósł w czasie pobytu w Rzymie, albo śliczny opis wędrówki do Einsiedeln, do Matki Bożej cudami w tym zakątku Szwajcaryi słynącej. (Aus meinem Leben. Stuttgart 1868). Chciałoby się cały ten opis tu umieścić. Niestety, niema miejsca. Przecież coś przytoczę z opisu jego wędrówki do Einsiedlu, w której napotkał pielgrzymów idących z modlitwą i śpiewem: „Minęliśmy ich z ukłonem, śpiewem swym ożywiali oni i napełniali wdziękiem charakterystycznym te puste wyżyny i zapraszali nas niejako do uczestnictwa w swych praktykach pobożnych. Widzieliśmy przed sobą wijącą się ścieżkę, po której i my wędrować musieliśmy i ze szczególnem upodobaniem wstępowaliśmy na nią i szliśmy śladem pielgrzymów. Obrzędy Kościoła katolickiego

pełne są znaczenia i imponują zawsze protestantowi, skoro rozpoznaje w nich szczerą ludzką, pierwotną, wewnętrzną pouczającą duszę, przez którą te obrzędy wywołane zostały i przekazywane od pokolenia do pokolenia". Goethe sądził, że w kulcie protestanckim brak pełniejszego życia.

W dalszym ciągu rozwija Goethe w barwnym poetyckim obrazie organizację wszystkich Sakramentów Kościoła katolickiego, kreśląc w ten sposób analogię życia przyrodzonego i potrzeb wewnętrznych ludzkiego serca. Oto jego słowa: „Oto młodzięca para podaje sobie dłonie, nie w spotkaniu tylko przelotnym lub w pustym tańcu. Kapłan wypowiada nad nimi swe błogosławieństwo i związek ich staje się nierozzerwalny. Po niedługim czasie młodzi małżonkowie składają dziecię u stóp ołtarza. Zostaje ono oczyszczone wodą świętą i tak ściśle związane z Kościołem, iż dobrodziejstwo tego związku tylko przez potworne odstępstwo utracić może. Dziecię samo ćwiczy się w rzeczach ziemskich, w rzeczach duchowych musi być oświecone. Skoro okaże się, że naukę sobie całkiem przyswoiło, zostaje przyjęte na łono Kościoła, jako prawdziwy, dobrowolny jego wyznawca, jako rzeczywisty obywatel społeczności wiernych, a przyjęcie to odbywa się przy współudziale pełnych treści znaków i praktyk. Teraz dopiero dziecię staje się człowiekiem chrześcijaninem, poznaje w pełni swe obowiązki i swe korzyści. Tymczasem doznaje ono wielu różnorodnych wpływów i działań i przez nauki, kary i napomnienia uświadamia sobie niedostatki swego życia wewnętrznego. W zamęcie wewnętrznych sprzeczności, wynikających z kolizji przyrodzonymi i religijnymi warunkami życia zjawia mu się oto przedziwny

środek pomocy i ocalenia. Wyznać swoje błędy, swoje wątpliwości przed czcigodnym postanowionym na to człowiekiem, który go uspokoi, ostrzeże, umocni, poskromi niejako przez symboliczne kary, a wkońcu przez zmazanie win uszczęśliwi go i jako czystą tablicę przywróci mu bezgrzeszne jego człowieczeństwo. Takim sposobem przez różne czynności sakramentalne, które nadto przy dokładnem rozpatrzeniu na mniejsze, niejako rozgałęzienia sakramentalne się rozdzielają, uspokojony i oczyszczony, klęka aby przyjąć Hostyę świętą. Aby zaś tajemnica aktu wzniesłego tembarðziej została uwypdatniona, wierny z daleka tylko widzi kielich; nie jest to zwykłe pożywienie i zwykły napój, który zadawała pragnienie, ale jest to pokarm niebieski, który owszem tembarðziej potęguje pożądanie niebiańskiego pokarmu. A te wszystkie w ciągu życia wypróbowane środki religijne ukazują u wrót śmierci całą swoją siłę zbawczą w dziesięciokroć pomnożoną. Przysposobiony przez praktyki i zwyczaje całego życia od najwcześniejszej młodości, z wiarą i ufnością przyjmuje konający pełne symbolicznego znaczenia pociechy religijne, które wtedy gdy znikną mu już wszelkie pomoce i rękojmie ziemskie, zwiastują mu szczęsny byt z nieomylną pewnością na całą wieczność. Umiera on z przeświadczeniem, że żaden żywioł nieprzyjazny, żaden duch złowrogi nie zdoła mu przeszkodzić, aby w zmartwychwstaniu, oczyszczony z doczesności ciała, uczestniczył w bezmiernej błogości życia wiekuistego i w bezpośredniej łączności z Bogiem!

Na zakończenie wreszcie, iż cały człowiek został uświęcony, są namaszczone i stopy jego. Odtąd nawet w razie powrotu do zdrowia, człowiek ze wstrętem

będzie dotykał temi namaszczoneimi stopami twardej ziemskiej skorupy; bo została im udzielona cudowna siła, dzięki której odtrącać będą skorupę ziemską, która ich dotąd przyciągała. Takim sposobem w tym promiennym kręgu czcigodnych, świętych czynności, których piętno pokrótce tylko tu przez nas zostało zaznaczone, łączą się kolebka i grób, jakkolwiek by były odległe od siebie w biegu czasu.

Wszystkie te cuda duchowne nie mogą wynikać, jak inne owoce życia, z gruntu przyrodzonego, bo nie w nim zostały one posiane, nie w nim wzrosły i rozkrzewiły się. Z innej dziedziny zostały nam udzielone, wyblagane przez nas, i nie każdemu i nie w każdym czasie są przystępne. Dowiadujemy się, że człowiek może być przez człowieka błogosławiony, skoro łaska z góry po temu udzieloną zostanie. Aby jednak nie zdało się to działaniem li tylko przyrodzonym, owa wielka, z ciężkimi obowiązkami złożona łaska może być tylko udzielona przez jednego, upoważnionego po temu w urzędzie kościelnym — drugiemu tegoż urzędu uczestnikowi, tak iż najwyższe dobro, jakie może człowiek otrzymać, zostaje udzielone przez dziedzictwo duchowe na ziemi i w niem uwieńczone; gdyż człowiek pozostawiony sobie samemu, własnymi siłami nie mógłby nigdy tego dodra zdobyć, ani osiągnąć. W powołaniu kapłańskim skupia się wszystko, co jest konieczne, aby pełnić te święte czynności, przez które pospolite rzesze zostają ubłogosławione, niepotrzebując przy tem zdobyć się na żaden samodzielny czyn, prócz wiary i bezwzględnego zaufania. I tak zjawia się nam kapłan w szeregu swych poprzedników i następców, wśród swych współuczestników w świętym urzędzie jako przedstawiciel Najwyższego w tem większej

wspaniałości swego posłannictwa, iż nie jego osobę w nim czcimy, lecz jego urząd; nie przed znakiem, jaki czyni, na kolano padamy, lecz przed błogosławieństwem, jakie udziela i które nam się okazuje tem świętszem, tem bardziej bezpośrednio z nieba zstępującem, ile że nie może być pozbawione swej mocy i świętości przez swe narzędzie ziemskie, najbardziej nawet grzeszne i występne.

Jakżeż ta duchowna łączność zostaje rozerwana w protestantyzmie, w którym większa część wspomnianych tu symbolów za apokryficzną została uznana, a tylko niektóre z nich jako kanoniczne są przyjęte. Jakżeż przez zobojętnienie dla jednych możemy być usposobieni do uczczenia wysokiej godności drugich". (Goethe. Aus meinem Leben c. VII. 2. Th. 11. 246.).

A sceptyk Francuz, opisując w *Revue deux Mondes* 1890 r. podróż swą na Wschód, taki śliczny ustęp umieszcza: „Lubię wielką a zarazem dyskretną gościnność naszych kościołów katolickich, w których zawsze obecne Bóstwo, zawsze dla wszystkich drzwi ma otwarte i zawsze prawie znajduje w przybyściach gorliwych czcicieli. Skoro nabożeństwo się skończy, nie ustają względy należne Panu świętego domostwa. Każdy mówi cicho i stąpa ostrożnie. Ludzie przybywają o różnych godzinach, aby Najwyższemu oznajmić o swych potrzebach i pożalić się swej ciężkiej doli. We wszystkich miastach katolickich w Peszcie. podobnie jak w Paryżu, obserwowałem tę ciągłą wędrówkę przechodniów poprzez nawy kościelne. Kucharka spotyka się tu z księżną; jedna wyrzeka się swych drobnych nieprawnych zysków, druga uspokaja gniew swój niesłuszny. Przynajmniej ta i tamta przejmuje się silnem postanowieniem. Smutne jesteście, zniechęcone! Stoicie na roz-

drożu! Nie wiecie, skąd wziąć sił na dalszą drogę! Idźcie, usiądźcie w najciemniejszym zakątku starego kościoła, a zobaczycie, czy może wbrew waszej woli nie oddziała na was umacniająco wpływ miejsca świętego. Jakaś dusza zbiorowa zamieszkuje te mury, modli się za was, którzy się już modlić nie umiecie. Otóż tego oddziaływania świątyń nigdy nie odczułem w kościołach schizmatyckich“.

Protestant Gerlach, prezydent, w „Acten Stücke“ III. Berlin 1856 tak pisze: „Wiźzimy codziennie, w jak małym stosunku do wpływów katolickich jest wpływ Kościoła ewangelickiego na religijne oświecenie i uświętobliwienie szerokich mas ludowych“. Zaś tajny radca Eilers, także protestant, pisze: „Miałem sposobność przekonać się nieraz o ścisłym związku życia chrześcijańskiego z urządzeniami i praktykami życia katolickiego wśród jego wyznawców, i z bólem serca przekonałem się, że na ogół biorąc, więcej jest chrześcijaństwa w istniejącym obecnie Kościele katolickim, aniżeli ewangelickim. Wydaje mi się to faktem udowodnionym, że w ogólnej swej działalności pod względem ducha poświęcenia i oddania się świętej sprawie duchowieństwo ewangelickie daleko pozostaje poza katolickiem“.

Tak. W katolicyzmie jest wszystko, i to coś, czego nawet kultura nowoczesna wydobyć z siebie nie podoła. Ani rasa, ani kraj, ani klimat, ani historia, ani kultura, nic zgoła nie podoła wytłumaczyć owych cudów, jakie przyniósł Chrystus z nieba do ludzi i złożył w Swym Kościele. Jezus odnowił oblicze ziemi. I tylko pod Jego sztandarem, w myśl Jego programu, ludzkość zdoła wydobyć się z zamętu i z klęsk i z brudu i z podłości i ze wszego złego, które trapią i dzisiaj jeszcze ludzkość. A więc

do stóp Chrystusowych w Jego Kościele paść na kolana z wiarą, że On uleczy ludzkość, że nadejdzie rok Pański wszystkim ludziom i wszystkim narodom. A wtenczas cała ludzkość szczęśliwa zawoła: „Ave Crux, Spes unica“, „Witaj Krzyżu, jedyna nasza nadziejo!“

Zakończenie.

Zakończam następującą prawdą, która bije w oczy. Ludzie po całym świecie rozprószeni, ludzie przeróżnych stanów, zwyczajów, zapatrywań, bardzo światli i rozumni, o silnym charakterze i krytycznym umyśle, przez dwadzieścia wieków wierzą i oddają cześć boską Chrystusowi Panu i cześć Kościołowi, i z tej czci dopiero czerpią siłę i moc do ciągłego postępowania w dobrem, do udoskonalania się, bo wierzą, że po śmierci będą oglądali Jezusa Chrystusa twarzą w twarz.

W pogaństwie tak zwane wielkie a światłe umysły w nic nie wierzyły. I nie dziwić się temu. Wszakci prawdy nie znali i po omacku żyli, chociaż bardzo wielu z nich tęskniło za prawdą i z góry jej wyglądało. W chrześcijaństwie zaś szczególnie owe czyste, szlachetne a wielkie dusze mają najgłębszą wiarę. Nie mówię o świętych biskupach, kapłanach, zakonnikach, ale z kroci wierzących wskażę na Dante'go, Korneil'a, Rasina, Mickiewicza i Krasińskiego; na onych mistrzów jak Fra Angelico, Leonardo da Vinci, Rafael, Michał Anioł; na onych królów i wodzów, jak nasi polscy, że wspomnę Jagiełłę i wielką jego małżonkę, a z wodzów Czarneckiego.

A nie wolno i o tem zapominać, że ludzkość

od chwili śmierci Chrystusa Pana ciągle, choć powoli, podnosiła się, szlachetniała, uświęcała.

Chryścjanizm usunął zimny egoizm pogański, który popychał niewolników do rozpacz; usunął wielożeństwo i przywrócił godność niewieście, czyniąc ją z niewolnicy wolną; odjął ojcu prawo nad życiem i śmiercią dziecięcia. Chryścjanizm uświęcił węzeł małżeński i przywrócił stare prawo o jednożeństwie, i zniósł jarmarki na żony, i żona wchodzi w rodzinę jako istota wolna. Córki nie oddaje ojciec wbrew jej woli mężowi, ale posiada ona wolność w wyborze męża i stanu. Sługa nie zawisł od despotyzmu pana, ale używa wszystkich praw obywatelskich. Naród wierzący jaśnieje łagodnością, szlachetnością i ogromnie się różni od onego narodu, u którego brak Żywego Jezusa, a z tym brakiem nie posiada już ani cnót bożych, a niestety ani nawet ludzkich.

I ludzie niewierzący za dni naszych wprowadzili nowy rodzaj niewoli, to jest źle płatnych i utrzymywanych robotników, co znów wywołało nową walkę stanów. I zamiast wielożeństwa zaprowadzają „wolną miłość“, która hańbi ludzkość. I ograniczają liczbę dzieci, i dzieci dają na wychowanie poza dom, bo matka wstydzi się swego dziecięcia. I dzieci gardzą, poniewierają i znieważają rodziców, a służba nie zna żadnych praw, nie spełnia obowiązków, bo celem jej „włóczyć się“. Niewierzący nie jest obyczajnym, nie jest obowiązkowym ani uczciwym. Rozbrzmiewa wszędzie hasło „wolności nieokiełzanej“, która już zbutwiałe podwaliny rodziny i społeczeństwa zrujnuje i zniszczy.

W świecie istnieją dwa wręcz przeciwne prądy i kierunki. Oba zaś kierunki rozdziela krzyż, u którego stóp jest kielich. Innego wyjaśnienia nie znajdziesz. Bo powiedz mi, kto to stworzył owe święte dziewice, które dla miłości Jezusa zaparły się wszystkiego? Kto uczynił męczenników, apostołów, pokutników? Kto św. Wincentego à Paulo, Stanisława Kostkę, a za dni naszych braci Alberta? Pytaj ich gdzie oni czerpali tę ogromną miłość, którą świat podziwia; tę miłość ku Bogu i ludziom. Pytaj! A oni ci wskażą: Tabernaculum, Chrystusa Żywego w Kościele.

Powiesz mi, że wielu z wielkich ludzi i mędrców i mistrzów odpadło od wiary. Prawda. Ale to tłumaczy się psychologicznie w ten sposób, że gdy wrodzona człowiekowi religijność rozminie się z prawdziwą religią, do której jest przeznaczony, to instynktowo szuka surrogatu religii i wpada w zabobon. Bo dwie są wiary na świecie. Wiara pokornych w Boga; i druga wiara, również głęboka, zupełna, aż do naiwności szczerą, a ona mieszka w umysłach inteligencji tej, która wierzy w „wolną myśl“, a częściej w zabobon.

A że tak jest, to dowodzi historia. W epoce cesarskiej Rzymu grasował zabobon, i panowali astrologowie i czarnoksiężta. Pliniusz, typ ateusza, to zarazem typ najdziwaczniejszego zabobonu. A w czasach chrześcijańskich kwitła astrologia, alchemia, i demonomania, — nie w średniowieczu, — ale z początkiem reformacji, gdy się wiara w duszach niektórych zachwiała. Luter sam ma ciągle dyabła na ustach i pod piórem i przyznaje się do stosunku z nim (Audin. Vie de Luther. I. 21). W czasach reformacji najwięcej spalono czarownic, które były

zupełnie niewinne. Komedye i dramaty Szekspira są pełne wróżek, czarowników, elfów, gnomów; a to wszystko jest odbiciem tego, co się roiło w głowach ówczesnej inteligencji. A magnetyzm, a mania kręcenia stolików około roku 1853., a nekromancja, a spirytyści a nowoczesny Buddaizm, który obiega Anglię, Szkocję, Francję i Rosję, a hypnotyzm. Czyż to wszystko nie sprawdza słów Pascala: „Niedowiarkowie to najłatwowierniejsi z ludzi“.

Ale nie zapominaj i o tem, że umysł ludzki, choćby i najświatlejszy, jest ograniczony, a gdy go opanuje „p y c h a“, to już się odwraca od wiary, od autorytetu, od Boga. Lecz gdyby oni zechcieli prawdę powiedzieć, to powiedzieliby, że w dniu, w którym utracili wiarę, utracili równocześnie i szczęście i pokój. I niejeden krzyknie z rozpacz, jak heretyk Melanchton, który napisał takie słowa: „Haec verba: Hoc est corpus meum, fulmina erunt. Quid his opponet mens perterrefacta?“, „One słowa: To jest ciało moje, uderzają jak piorun. Co im zarzuci zmiadzony umysł?“ (De veritate corporis et sanguinis Christi). Co za straszne wyrzekł słowo apostoła.

W roku 1888, w „Przeglądzie powszechnym“, z grudnia, na str. 425 w odpowiedzi „Dziennikowi Polskiemu“ o internacjonalne klerykałnym napisałem: „Człowiek jest istotą religijną i wrodzony jego ustrój wymaga koniecznie zaspokojenia tej religijnej potrzeby. A jeżeli „zwierzęcość“ człowieka nie ma zadusić i zgasić „duchowości“ i owego wyższego życia, które go dopiero czyni człowiekiem, jeżeli nie ma doprowadzić do tego, żeby człowiek stał się istotą zezwierzęconą i rozpasaną, jak się wyraża Schiller: „najpotworniejszym z potworów“, to musi on być religijnie wychowanym. A któż się

zajmie jego religijno-moralnym wychowaniem? Tylko i w pierwszym rządzie Kościół, bo on tylko mieści w sobie ów ideał wychowania i posiada środki nadprzyrodzone do urzeczywistnienia tegoż ideału. Kto chce zaś wychowanie pozostawić wyłącznie państwu, ten musi przyznać, że ono będzie zewnętrznym, biurokratycznym, wojskowym. A że do tego zwolna zdążamy, wskazują zdania postów niemieckich, wygłoszonych przy rozprawach nad budżetem wojskowym: „Koszary — to Kościół przyszłości“. Kościół zajmuje stanowisko łącznika ludzkości, i jest potęgą społeczną i konserwatywną, przeciw której najpierw podnosiły się rewolucyjne duchy, czy z góry czy z dołu pochodzące. A mimo to Kościół jest jedynym, który pokonuje dzisiaj nowoczesnego ducha rewolucyjnego, co wstrząsa jak febra całym społeczeństwem. On też jeden jest w możności ujarzmić namiętności i rozjuszony masy proletariatu do spokoju i równowagi doprowadzić, wlać w nie ducha karności i zjednoczyć w tym celu, aby na nich odbudować nowe dla przyszłości społeczeństwo. Nie dokona tego liberalizm swoim rozdrabnianiem i rozsadzaniem społeczeństwa w atomy, ani socjalizm swoim biurokratyzmem państwa absolutnego. Kościół dąży do naprawienia obecnych stosunków tylko drogą pokoju i wolności, a jako katolicki, wzywa wszystkich synów, bez różnicy narodowości, do spełnienia tego ideału. I nadejdzie chwila, mamy w Bogu nadzieję, że duchowieństwo całego świata, a za niem wszyscy katolicy podadzą sobie ręce, by wspólnie dążyć do umoralnienia robotnika i do polepszenia jego doli, i do pracy nad rozwiązaniem kwestyi socyalnej“.

A więc idźmy za hasłem Wielkiego Papieża

Leona XIII., który wyznawców Kościoła napomina: „W tej walce o najważniejsze sprawy ludzkości nie powinno być miejsca dla sporów między swoimi, nie powinno być waśni stronnictw, ale wszyscy niech zgodnie i jednomyślnie do tego zdążają, co jest wspólnym wszystkich zadaniem, a to: religię i Rzeczpospolitą ocalić! Niech tedy rozterki, jakie wprzód być mogły, chętna zatrze niepamięć, jeśli gdzie lekkomyślność, jeśli krzywda zaszła z czyjejkolwiek strony, niech to nagrodzi wzajemna miłość i odznaczająca się Stolicą Piotrową uległość“ („Immortale Dei“).

A jako Polacy przyjmijmy radę naszego X. Biskupa Teodorowicza, wygłoszoną podczas uroczystości lwowskiej ku czci Krasińskiego: „Ile razy myśl polska czy dusza polska otwierać się ma światu, to niechaj będzie jej powołaniem obsłużyć Chrystusa w narodach i ludzkości. Narody dzisiejsze niczego bardziej nie potrzebują, jak Chrystusa i Jego kultury. W obecnej chwili, gdy niemiecka myśl hyperkrytyczna rozkłada ducha chrześcijaństwa, myśl polska winna go budować. Mieliśmy przykłady, iż naród podbity wszczepił swą kulturę innym. Ziębnięty i samolubny świat dzisiejszy miał niejednokrotnie widowisko z Polski, czy to chrześcijańskiej ofiary, idącej z pod rzezi z Krozów, czy też z męczeństwa dzieci katowanych za pacierz w Poznańskim, czy wreszcie z najsmutniejszej i najświeższej karty swych dziejów, tak żałobnej, a tak bolesnej“.

* * *

Machiavelli skreślił zasadę realnej polityki temi słowy: „Trzeba więcej miłować ojczyznę, niż własną duszę“. Ale ta zasada jest kłamstwem i szkodzi

ojczyźnie. Kto bowiem sponiewiera swą duszę dla ojczyzny, ten zdradzi rychło ojczyznę dla bliższych swych celów, dla swych korzyści. Kto naprawdę miłuje ojczyznę? Ten, który swą duszę miłuje po bożemu, to jest, który swą duszę miłuje więcej niż ojczyznę. Bo kto miłuje swą duszę po bożemu, ten jest moralnym, uczciwym i zacnym obywatelem, a więc miłuje pocziwie ojczyznę jako matkę swą, pracuje dla niej bezinteresownie, służy jej całą duszą, a w razie potrzeby i życie swe za nią położy w ofierze.

Ktoś nieźle nas scharakteryzował, zowiąc nas „papugą narodów“. Bo my nowostki wszelkie bierzemy z drugiej ręki, i to wtenczas, gdy one już za granicami narodu zbankrutowały. Tak było z humanizmem i reformacją, tak i dzisiaj z ewolucjonizmem i kulturą pogańską.

Szujski pisze w „Przeglądzie Polskim“ z r. 1880 w czerwcu tak: „Polska, wychodząc z czternastego wieku z tym zasobem cywilizacji europejskiej, jaki jej naprędce dał Kazimierz Wielki, powołana do wielkich przeznaczeń przyzwaniem Wielkiego Księcia Litewskiego na tron polski, weszła z właściwą młodym narodom energią w koncert spraw i kwestyj europejskich, chłonąc w siebie wszystko, co jej podawała Europa. Stąd świetny choć wczesny udział naszych legistów w obradach synodu konstancyjskiego, udział stojący po stronie radykalnej tak w sprawie Husa, jak w sprawie Krzyżaków z Polską, stąd udział naszych kanonistów i teologów w koncylium bazylejskiem, oświadczających się znowu za skrajną zasadą „wyższości koncylium nad papieża“, stąd wczesne sympatye do humanizmu Italskiego, poddawanie się jego wpływom, rozbijanie się za jego

plodami. Z targowicy to książkowej, słynnej niestety także z towaru zepsucia wszelkiego rodzaju, płyną pierwsze kodeksa humańskie do Polski, kodeksa uprzedzające rozbić Konstantynopola i ucieczkę greckich uczonych do Włoch, płyną pisma Petrarke a i Boccaccia“.

„Humanizm niósł z sobą odwrócenie myśli, uczuć, wyobraźni od chrześcijaństwa i napełnienie jej myślami, uczuciami, obrazami pogańskimi. Humanizm, drażniąc ciekawość nienasyconą obrazami życia pogańskiego, wzywając do naśladowania i stosowania natychmiast wszystkiego starożytnego, wiódł w życie codzienne, społeczne, polityczne, literackie, religijne, z nadzwyczajną szybkością, niósł osłabienie gorącego tętna religijnego, ciepła chrześcijańskiego, żarliwości w nabożeństwie i praktykach kościelnych. Stąd naruszenie chrześcijańskiej harmonii i sprzeczność człowieka z jego stanowiskiem, n. p. gdy duchowny stawał przy władzy świeckiej przeciw kościelnej, rządził zabór sreber kościelnych, jak to czynił Grzegorz z Sanoka lub Jan Gruszczyński“.

W takie ślady wchodzi nasi powieściopisarze, poeci, literaci, politycy, nie wiedząc, czy nie chcąc wiedzieć, ile trucizny wlewają w nieszczęśliwy, rozbity i zdeptany naród, jak go deprawują, na jak długo zwlekają odrodzenie narodu. Nie ci są patriotami, którzy trują ducha narodu, choćby najpiękniejszą poezją lub nowostkami u nieprzyjaciół naszych zapożyczonymi, ale ci, którzy dostarczają narodowi ludzi o charakterach rozumnych, szlachetnych, tęgich, niezłomnych, którzy mnożą duchową potęgę narodu. jakiej Bóg błogosławi i daje jej cudowną przewagę ponad siłę i przemoc materialną. Poeci powinni pamiętać, że po rozbiórce zostało tylko: wiara kato-

licka i prawo historyczne, przyrodzone, prawo legitymizmu narodowego, które narody wyniosły z siódmego przykazania boskiego: „nie kradnij“. Tych świętych spraw nie wolno tykać, nie wolno obniżyć, nie wolno na nie plwać. Bo zdrowy może jakiś czas bezkarnie nadużywać zdrowia, ale schorzałemu, jak my, narodowi, lada rzecz szkodzi i napowrót rzuca na łożo boleści. Ale i o tem nie wolno zapominać, że zwykle, kiedy Bóg karze jaki naród, to karze go tak długo, aż oczyszczonego cierpieniem, może znów postawić na świeczniku, aby świecił na narody i służył im ku zbudowaniu.

Jak zaś straszną jest mściwa sprawiedliwość Boska względem zdrajców narodu, to jest takich, co gubią naród, daje nam przykład: „Pamiętnik księdza biskupa Łętowskiego“, umieszczony w „Przeglądzie Lwowskim“, rok drugi, dnia 1. lutego: „Od tej chwili, gdy obaj bracia Łętowscy, jedyne posły z województwa Krakowskiego, na akcie pierwszego rozbioru Polski pod Ponińskim położyli swe imiona, — już nam błogosławieństwo nie sprzyjało, majątek w rękę synów się rozsypał. Trzeciego też pokolenia naszego nie ma co i liczyć. Narody mają także swoje przekleństwa i to straszne. Bo co po szczęściu z pokalanem imieniem. Jak zbójca widzi mary wokoło siebie, tak pokolenie tym trądem dotknięte po twarzach pocziwych czyta wyrok swój. Na dzieci patrzysz z obawą, lub żona będzie ci niepłodna, lub majątek z rąk ci ucieka; to skarżysz się na los twój słuszny i niesłuszny. Nauka z tego, iż z ojczyzną cięższy ratunek, niż z sumieniem; bo sumienie pyta i słucho, a Ojczyzna ściga na swoich krzywdę swoją“.

A więc! Wolę skupić i moc skupić. A gdy przyjdzie ból jak gład, i męka jak śmiertelna choroba, gdy wśliźnie się i rozpacz jak rana nawskróś, a za nią niemoc jak kurcz i bunt jak żywioł niszczący, to po sto razy trzeba wysilić wolę i nie dać się złamać, i paść na kolana przed Ukrzyżowanym w myśl Jego serdecznego wezwania: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja was ochłodzę“ (Mat. 11, 28). I ześle dobry Jezus pociechę i nadleci wiara i pokój jak zwiastująca gołębica z różczką oliwną, boć o tem zapewnił nas Syn Boży słowy: „Pokój wasz wróci się do was“ (Mat. 10, 13).

TREŚĆ:

Wolność	5
Wolna myśl niema potrzebnej powagi do wydawania praw moralnych	15
Myśl ludzka nie jest wolną	20
Kto jest jedyną powagą w zagadnieniach ludzkości?	25
Zarzuty modernistów	33
Owoce wolnej myśli	46
Kościół tylko broni duchowych podstaw społeczeństwa .	85
Program społeczny Chrystusa Pana	72
Zakończenie	94



17/5012

4563/211

DZIEŁA TEGOŻ AUTORA:

- De integritate sacri textus hebraei. 1880.
O Sakramencie pokuty. Cz. I. 1883.
Mowa na obchodzie żałobnym za duszę ś. p. Józefa Szuj-
skiego. 1883.
Mowa na obchodzie żałobnym za duszę ś. p. Antoniego Odyńca.
1883.
O Sakramencie pokuty. Cz. II. 1884.
Kazania prymicyjne. 1884.
Mowa w sprawie projektu ustawy konkurencyjnej. 1884.
O Sakramencie pokuty. Wydanie II. 1885.
Książeczka Jubileuszowa. 1886.
O zagrodach włościańskich. 1889.
O stosunku kapitału do pracy. Kwestya socyalna. 1892.
Akt poświęcenia sztandaru „Pracy“ w Tarnowie. 1895.
Działalność katolików w kraju na polu socyalnej organizacyi.
Wykład na kursie socyalnym w Krakowie. 1897.
O Sakramencie pokuty. Trzecie wydanie przerobione. Stron 536.
XVI. Przemysł 1900.
Siedm kazań o Męce Pana naszego Jezusa Chrystusa. Prze-
myśl 1903.
Hołd Niepokalanej. Lwów. 1904.
Nasza młodzież szkolna. Lwów 1904.
Dokąd dążymy? Lwów 1905.
O Sakramencie pokuty. Wydanie nowe. Przemysł 1905.
Kazanie na uroczystość św. Piotra. Poznań 1908.
Mowa podczas wizytacyi biskupiej. Poznań. 1908.
Mowa ślubna. Poznań 1909.
Trzydziestolecie „Gwiazdy Tarnowskiej“. Tarnów 1911.
Wierzę w święty Kościół powszechny. Tarnów 1912.